

Daria Kaczmarek

Pieskie Wakacje



ilustrowała Marianna Oklejak



DEMART



Z
BIGLEM!

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Daria Kaczmarek

Pieskie wakacje

©Copyright by Demart SA, Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część, ani całość niniejszej publikacji „Pieskie wakacje” nie może być reprodukowana, ani przetwarzana w sposób elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny i inny, nie może być użyta do innej publikacji oraz przechowywana w jakiegokolwiek bazie danych bez pisemnej zgody Wydawcy.

Demart SA
02-495 Warszawa
ul. Poczty Gdańskiej 22a
tel. 22 662 62 63; faks 22 824 97 51
<http://www.demart.com.pl>
e-mail: info@demart.com.pl

Dział zamówień:
Sprzedaż hurtowa:
tel. 22 498 01 77/78, faks 22 753 03 57
e-mail: biuro.handlowe@demart.com.pl
Sprzedaż detaliczna:
e-mail: sklep@polskaniezwykla.pl

Seria książek dla dzieci „Z biglem”

Projekt okładki: Marianna Oklejak
Redakcja: Renata Czubaj
Korekta: Anna Skarżyńska

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)

Rozdział 1

Trzydziestego czerwca w domu Marysi Wejchert nastał sądny dzień. Bładym świtem, z hukiem i biadoleniem na ustach, wtoczyła się do domu korpulentna postać cioci Stefy. Ciocia na pewno nie należała do ludzi lubiących sobie pospać i poleniuchować. Była ostatnią osobą na świecie, która umiałaby, choć minutę, usiedzieć beczynn timer. Nie zważając więc na rozpaczliwe protesty rozczochranego podlotka, zdarła z Marysi kołdrę i otworzyła szeroko okno.

– No rybeńko, wstajemy, już ranek, kto to widział tak długo leżeć w łóżku – powiedziała głosem kaprała ciotka.

Rybeńka otworzyła jedno oko i natychmiast je zamknęła. Z całą intensywnością dotarło do niej, że oto na całe dwa miesiące została pozbawiona rodziców, a ich miejsce zajął kapral w spódnicy. Mamcia i tatko postanowili skorzystać z jedynej w życiu okazji i polecieć do Kanady na dwumiesięczne stypendium dla młodych naukowców.

Osobiście Marysia uważała, że pojęcie młodości jest w tym przypadku mocno naciągnięte i nie dotyczy steranych życiem trzydziestoparolaków. Okazało się jednak, że wszystko jest względne i młodzi biolodzy frrrrrrrrrrrrrr.... polecili do Calgary. Zanim jednak Marysia pomachała im na lotnisku chusteczką, podczas burzliwej rodzinnej narady ustalono, że:

po pierwsze, dwanaście lat to całkiem dużo,
po drugie, ciotka Stefa świetnie gotuje,
po trzecie, za rok to dopiero będą wspólne wakacje!!!

I tak zamiast słonych fal, szumu morza, wieczornych spacerów z nieznajomym po plaży, Marysia spędzi nudne, przewidywalne wakacje z ciotką Stefą. W dodatku wakacje tuczące, co dla wiecznie się odchudzającej Marysi było tak samo straszne, jak muzyka disco-polo.

Największą bowiem wadą ciotki było to, że gotowała naprawdę nieziemsko. Nie było chyba na świecie anorektyczki, która byłaby w stanie oprzeć się pierogom, blinom, tartom... Do tego wszystkiego

ciotka była wszechstronna i nowoczesna, rozwijała swój talent kulinarny systematycznie i wielobiegunowo. W wieku lat trzydziestu opanowała kuchnię polską, ukraińską, rosyjską i litewską, do czterdziestki poznała wnikliwie kuchnię śródziemnomorską, z pięćdziesiątką na karku eksperymentowała z kuchnią Dalekiego Wschodu. Przynajmniej trzy razy w tygodniu spadała, jak grom z jasnego nieba, taszcząc siaty pełne tuczących przysmaków. Rodzina obawiała się o swoje żołądki, które nie zawsze były w stanie przetrwać surowe ryby i egzotyczne owoce. Nikt jednak nie ośmielił się głośno zaprotestować, więc po cichu wyciągano płaczącą się między zębami trawę i podkarmiano surowymi rybami uszczęśliwionego kota Ziutka. Ciotka była wniebowzięta, rodzina miała spokój, tylko od czasu do czasu ktoś pod pozorem choroby przechodził tygodniową głodówkę.

Marysia obudziła się całkowicie, smakowite zapachy dochodzące z kuchni przypomniały jej, że wczoraj z rozpaczy zapomniała zjeść kolację.

Miała syndrom porzuconego dziecka – oto ona wypieszczona i wychuchana jedynaczka została porzucona przez żądnych wiedzy i naukowych (podobno!) doświadczeń rodziców. Do tej pory wakacje spędzali zawsze razem. Tylko raz próbowali wypchnąć ją na kolonie, jednak po tygodniu, po licznych telefonach zarówno jej, jak i wychowawców, zabezpieczona i ostatecznie zniechęcona do grupowych wyjazdów osiadła w domu. Ale zapach omletu na szynce robił się coraz bardziej intrygujący, więc zwiesiła z tapczanu chude nogi i powlokła się do kuchni.

– Chodź, rybeńko, chodź, omlet pomoże na wszystkie troski, nie przejmuj się, dwa miesiące miną, że ani się obejrzysz – powiedziała ciotka Stefa, nakładając na talerz omlet wielkości jeziora Bajkał. – Pomieszkamy sobie razem, pogotujemy pyszności, pojedziemy nad jeziorko i co tam jeszcze będziesz chciała.

Marysia smętnie zwiesiła głowę; możliwości były niewielkie. Kasia, Ania, Marta wyjechały na obóz w góry, Paulina z rodzicami nad morze, Zuza lada dzień jedzie do Grecji – a ona? Ona zamknie się w pokoju i będzie kontestować. Dwie łyżki wielkości grochu kapnęły jej na środek omletu. Gruby Ziutek przywabiony zapachem szynki

wskoczył swojej pani na kolana i przymilnie otarł się o rękę. Ciocia Stefa ciężko westchnęła, dramaturgię spotęgował jeszcze grzmot za oknem. I w tej samej chwili zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Rozdział 2

Pod drzwiami siedział pies, mały czarnawobrazowy, taki jamnikowaty. Siedział i spokojnie patrzył.

– Co za lichy? – zapytała zaskoczona ciotka Stefa.

W odpowiedzi pies szczeknął dwa razy.

– Aha, rozumiem, że się właśnie przedstawiłeś.

– Ciociu to jest chyba suka i jakaś taka gruba ona jest, jak nasz Ziutek, przekarmiona.

– Coś podobnego, że też ci ludzie serca nie mają, chyba nam ją jakiś łachudra podrzucił – ciotka Stefa nie kryła oburzenia.

W tym czasie Gruby Ziutek zjadłszy podstępnie resztkę omletu dotarł wreszcie do drzwi. Natychmiast się zjeżył i syknął. Przybłąda położył uszy po sobie i przymilnie popatrzył kotu w oczy. Spojrzał raz drugi i przyjaźnie pomachał ogonem. Gruby Ziutek uznał, że ten nowy jest całkowicie niegroźny, zabrał się więc do obwąchiwania intruza.

– No i co my mamy zrobić, przecież nie możemy go wziąć, mamy kota – powiedziała ciotka i chwyciła się pod boki.

– Ale nie możemy też zostawić go, czy raczej jej – tak na korytarzu – zaoponowała Marysia.

Na schodach słyhać było kroki, ktoś zbliżał się powoli do trzeciego piętra. Szła pani Ania spod ósemki, pediatra; mieszkała tu od roku z trójką dzieci, chomikiem, patyczakiem i mężem hipochondrykiem.

– Dzień dobry pani – powitała ją Marysia. – Czy nie widziała pani właściciela tego psa, ktoś nam go chyba podrzucił, zadzwonił i uciekł.

– Dzień dobry – głos pani Ani walczył z zadyszką. – Wybiegał z klatki jakiś taki łysy, mało mnie nie zabił, tak się spieszył, to na pewno on! Wsiadł do wozu i ruszył z piskiem, jakby go ktoś gonił.

– A numerów samochodu pani nie pamięta? – zapytała ciotka Stefa.

– Nawet nie wiem, jaka to marka, a co dopiero numery – pani Ania bezradnie rozłożyła ręce, upuszczając jedną z siatek.

Uchyliły się drzwi naprzeciwko i na korytarz wyszedł pan Robercik.

– Piesek jak ta lala; szczęście, że nie pod moje drzwi go podrzucił ten łysy (wyraźnie był dobrze zorientowany, już od paru minut podsłuchiwał pod drzwiami). – Weź go pani i sprzedaj, jeszcze pani zarobi – zarechotał i szybko zamknął drzwi.

Tymczasem pies z kotem weszli w komitywę; Gruby Ziutek od razu zobaczył w suce wiernopoddańczy charakter i skłonność do ofiar, postanowił więc zaakceptować przybłędę, słusznie przypuszczając, że w zamian za dach nad głową po wsze czasy dzielić z nim będzie swoją miskę.

– Chyba powinna go pani zawieźć do schroniska albo ogłoszenie dać w gazecie, może się znajdzie jakiś właściciel, innego wyjścia nie ma – pani Ania na nowo rozpoczęła wędrówkę po schodach.

– No chyba rzeczywiście – powiedziała ciotka Stefa i szerokim gestem zaprosiła przybłędę do domu.

Pies wszedł, udał się prościuteńko do kuchni, usiadł pod lodówką, oblizał metalowe drzwi i przyjaźnie szczeknął. Gruby Ziutek popatrzył na przybłędę z podziwem.

– Widać, że wychowany w domu wie, że to, co dobre jest w lodówce – powiedziała ciotka, nakładając suce sporą porcję mielonego indyka. – No masz, masz, biedaku zjedz sobie.

Gruby Ziutek postanowił wkroczyć do akcji; miauknął przeraźliwie. – Ty też dostaniesz, jak jedno, to i drugie. – Ziutek mlasnął jęzorem i pochłoniął trzecią tego ranka porcję kalorii, w ogóle nie troszcząc się o linię.

– Ciociu, czy ona może zostać u nas?

– O to musisz zapytać rodziców, nie wiem też, co na to kot, jak na razie nie stwarza problemów, ale może zaraz się pogryzą albo pogonią, kto to wie...

– Oj ciociu, może na razie niech zostanie, a jak przyjadą rodzice to z nimi porozmawiam, chyba nie trzeba im zawracać teraz głowy takim drobiazgiem.

Marysia spojrzała błagalnie na ciotkę, ciotka spojrzała na psa, pies na pustą miskę.

– No dobrze, niech ci będzie, ale to ty będziesz z nim wychodziła na spacer.

– Jasne, super! – krzyknęła Marysia. – A jak ją nazwiemy? Może Gapa albo Mała albo Frania.

– Chyba Franczeska, tak bardziej dostojnie, zobacz, jakie ma dumne spojrzenie.

Franczeska przybrała pozę rasowego psa, pomachała ogonem i szczeknęła radośnie uznając, że wreszcie znalazła godny siebie dom.

Rozdział 3

O trzeciej nad ranem Marysi zachciało się pić. Właśnie śniło jej się, że jest na tratwie na środku morza, wszędzie dookoła jest słona woda, a ona umiera z pragnienia. Zaczyna rzeźić, widzieć podwójnie, rzucać się po deskach tratwy. Wpada wreszcie do wody i topiąc się, w ostatniej sekundzie, uświadamia sobie, że do tratwy był przyczepiony baniak z coca-colą. Zmaltretowana psychicznie i wysuszona jak pustynia Gobi poszła napić się soku. Weszła do kuchni i stanęła jak wryta.

– Ciociuuuuu!!! Ciociuuuuu!!! – błyskawicznie znalazła się przy łóżku ciotki. – Ciociu, choć szybko do kuchni, szybko!!!

– Co, co, co się stało!!! – nieprzytomna ciotka próbowała pozbierać myśli.

– Wstawaj, sama zobaczysz, padniesz trupem, jak zobaczysz, mówię ci, no wstawaj!

Ciotka Stefa, przeczuwając pęknięcie rury, zalany sufit, kradzież z włamaniem i inne kataklizmy pobiegła do kuchni. To, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze oczekiwania: na podłodze koło lodówki spokojniutko wypoczywała sobie Franczeska otoczona wianuszkami szczeniąt. Obok świeżo upieczonej matki leżał, dumny jak paw, Gruby Ziutek.

Maluchy, jeszcze trochę mokre, spały w najlepsze. Franczeska czule patrzyła to na gromadkę, to na stojące w progu kuchni ciotkę i Marysię; najwyraźniej oczekiwała wyrazów uznania i zachwytów.

– O rany – szepnęła pobladła z emocji ciotka Stefa – ale się porobiło! Już wiadomo, dlaczego była taka gruba i dlaczego ktoś ją wyrzucił!

– Cztery psie bobasy! Trzy ciemne, a jeden łaciaty, chyba ma wszystkie możliwe kolory: szary, czarny, brązowy i biały – rozculiła się Marysia. Usiadła po turecku na podłodze i pogłaskała wzorową matkę po głowie. Jeden z maluchów obudził się i przyssał do sutka.

– Ale śmiesznie! Zobacz, jak pije, cmoka i cmoka – Marysia przyglądała się z ciekawością. Nie tylko ona, Gruby Ziutek wlepił oczy w szczeniaka, zastanawiając się najwyraźniej, czy i on może się do tego mlekociągu podczepić.

– Co my teraz zrobimy z tyloma psami? Na jednego, małego to twoi rodzice może by się i zgodzili, ale pięć to już przesada. Trzeba będzie je oddać. Tylko gdzie znaleźć czterech desperatów, którzy chcieliby nierasowe, nierodowodowe pieski? Marysiu, jutro dowiesz się, wszystkiego o szczeniakach, do wychowania musimy podejść fachowo, inaczej zostaną tu na wieki, a do przyjazdu rodziców muszą być wydane! – zakończyła komendą ciotka i z wizją pałętających się po domu i sikających na dywan szczeniaków poszła spać.

Marysia w ogóle nie mogła już zasnąć, pół nocy przyglądała się pieskom, głaskała je, próbowała z nimi rozmawiać. Zapomniała o rodzicach, nieudanych wakacjach i morskiej bryzie. Gruby Ziutek, czując się trochę zazdrosny, wskoczył jej na kolana i także domagał się swojej porcji pieśszczot. I tak głaszcząc na przemian kota i psy Marysia zasnęła na kuchennej podłodze.

Rozdział 4

Następnego dnia po południu Marysia wiedziała już wszystko, co o szczeniakach i karmiących matkach wiedzieć się powinno. Trzy godziny poświęciła na studiowanie wiadomości w internecie, oglądanie zdjęć i kopiowanie co ważniejszych informacji. Z rozpędu przeanalizowała jeszcze strony dotyczące macierzyństwa u innych ssaków (w tym człowieka), depresji poporodowej i kolek u niemowlaków. Z ulgą stwierdziła, że małe jedzą dużo, Franczeska nie ma depresji i żaden z maluchów nie jest odrzucony. Zrobiła całej rodzinie wygodne legowisko w swoim pokoju i ostrożnie przeniosła do niego psy.

Kot, który czuł się najwyraźniej odpowiedzialny za Franczeskę i jej przychówek, ulokował się tuż obok. Pierwszy dzień życia szczeniaków ograniczał się do jedzenia i spania. Maluchy były wielkości tenisowej piłeczki pokrytej puchem. Ciepłe ciała oddychały miarowo. Myśl o tym, że te rozkoszne stworzenia będą musiały znaleźć nowy dom doprowadzała Marysię do rozpacz. Miała zaledwie osiem tygodni na to, by poszukać dla maluchów przyjaznych ludzi. Przez osiem tygodni będą piły mleko matki i grzały się jej ciepłem.

Po pięciu należy się spodziewać figli i psot, obgryzania mebli i łobuzerskich wypadów do pozostałych pokoi.

Marysia nie miała pojęcia, gdzie znaleźć opiekunów dla szczeniaków. Schroniska są przepełnione, a takich ludzi jak ona, chcących oddać psy w dobre ręce są tysiące. Do sprawy należało podejść marketingowo, obmyślić plan, zaprezentować psy jako produkt najlepszej marki i sprzedać, to znaczy wydać, bo to w końcu jakby znaleźć maluchy. A wszystko trzeba zrobić jak najszybciej.

Tymczasem szukanie dobrych kandydatów na rodziców zastępczych, może trwać nawet miesiące, a tego ciotka z pewnością nie wytrzyma, nie mówiąc już o nieświadomych niczego rodzicach...

Trzeba by jeszcze pogadać z kimś, kto się, choć trochę, zna na reklamie... Jest! No pewnie, mąż pani Ani, pan Tomek pracuje w

agencji reklamowej, na pewno będzie wiedział, jak najlepiej upchnąć szczeniaki. Olśniona tą myślą Marysia czym prędzej, przeskakując po dwa schody, pobiegła dzwonić pod ósemkę.

Dzwonek oczywiście nie działał. Pan Tomek, pozbawiony zdolności technicznych, naprawą wszelkich sprzętów, awariami i kontaktami z sąsiadami obarczał swoją uroczą żonę.

Był przystojnym trzydziestolatkiem, cały czas jednak wydawało mu się, że jest chłopcem. Nie mógł pojąć, jakim cudem w tak młodym wieku zdążył się ożenić i spłodzić trójkę przemiłych dzieci. Jeszcze niedawno rozkochał w sobie każdą napotkaną na drodze dziewczynę. Niebieskie, łagodne spojrzenie, blond kitka i tak charakterystyczne dla artystów roztargnienie, pozwalało mu, co tydzień spotykać się z inną piękną. Oczywiście do czasu, kiedy to drogę przecięła mu filigranowa Ania. Teraz całe dni spędzał przed komputerem, projektując katalogi, składając foldery i ulotki.

Większość pracy robił w domu, całe szczęście szef nie wymagał od niego zbyt częstego pojawiania się w agencji. Wymagał „roboty na czas”, a gdzie ją Tomek robi, to już jego sprawa. Problem pojawiał się dopiero podczas konfrontacji z klientem. Pan Tomek nie znosił krytyki, a poprawianie jego projektów przez marketingowców z firm doprowadzało go do szaleństwa. Konfrontacja kończyła się zwykle karczemną awanturą, po której sąsiad, klnąc pod nosem, zmieniał projekt i natychmiast szedł biegać. Skłonność pana Tomka do wyolbrzymiania swoich chorób była ogólnie znana od czasu, kiedy to powalony przez gorączkę, święcie przekonany, że umiera, wyskoczył w piżamie na klatkę schodową, chcąc natychmiast jechać do szpitala. Fakt, że ma za żonę lekarza, nie miał tu nic do rzeczy, pediatra to lekarz, który zna się tylko na dolegliwościach dziecięcych, co najwyżej może więc leczyć Zośkę, Martę i Jonasza, a nie swojego męża. Drzwi otworzyły się wreszcie i na progu stanął, nieco zaspany pan Tomek.

– A, to ty, żony nie ma w domu, poszła z dziećmi do kina – wystękał, nie mogąc opanować ziewania.

– A ja właśnie do pana.

– O?! – zdziwił się niezmiernie. – A jak ci mogę pomóc? Wejdź, wejdź, nie będziemy tak stać w tym przeciągu, bo się jeszcze

zaziebię – powiedział ten okaz zdrowia i zatrzęsął drzwi wejściowe.

– Muszę oddać cztery szczeniaki i nie wiem, jak to zrobić. Chyba stanę na rynku i będę krzyczeć. Chcę je jakoś zareklamować, tylko nie wiem, jak i gdzie.

– A skąd ty masz cztery psy? O ile dobrze pamiętam to do niedawna nie miałaś ani jednego.

– No tak właściwie to mam pięć, ale matka zostaje. Podrzucił nam ktoś pod drzwi jednego, no i z tego jednego w nocy zrobiło się pięć.

– A to numer! Dobrze, że nam nie podrzucił, troje dzieci i pięć psów to dopiero byłoby piekło. Wiesz co, może zrobimy plakacik, wydrukujemy na kolorowej drukarce i powieszysz, gdzie się da. Jakiś zgrabny tekścik, wzruszający, dowcipny i koniecznie zdjęcie – klient kupuje oczami, zobaczy i zapragnie – zapalił się pan Tomek. – Tylko musimy zrobić małą sesję zdjęciową.

Sesja zdjęciowa nie była łatwa; najpierw Franczeska warczała na lampy, potem nie podobały jej się kable i w ogóle całe to zamieszanie wokół jej dzieci. Nerwowo łypała okiem, gotowa w każdej chwili bronić rodziny.

– Ona chyba wie, że ten galimatias nie wyjdzie jej na dobre. – Marysia wierzyła w instynkt matki, która podskórnie czuje każde zagrożenie.

– E tam, chwila moment i będzie po wszystkim, dopóki małe ssą mleko, to jest nerwowa, ale już niedługo zaczniesz się od nich opędzać, mówię ci to jako potrójny tata, he, he, he – zaśmiał się Tomek z miną gnębionego co dzień ojca. – No dobra, pstrykamy, poproszę o zadowolone, pełne miłości i mądrości pyski, Franczeska uśmiech proszę. – Tomek był w swoim żywiole, skakał z aparatem niczym cyrkowiec.

Marysia nigdy by nie przypuszczała, że zrobienie kilku zdjęć może trwać dwie godziny i że wszyscy, łącznie z psami, będą się czuli jak po wyjęciu z maglownicy.

– Dobrze zdjęcia wymagają czasu i poświęcenia – wygłosił na koniec sentencję boski fotograf i zaczął pakować sprzęt.

O zdjęciach można było powiedzieć wszystko, z wyjątkiem tego, że przedstawiają miłą, sympatyczną psią rodzinę. Pysk znudzony, pysk smutny, pysk wycieńczony – Marysia oglądając na komputerze

zdjęcia miała wrażenie, że psiakom dzieje się ogromna krzywda, a plakat będzie wołaniem o ratunek.

– Można by dać tytuł: „Kto pomoże bezdomnym i chorym psom?” albo „Na ratunek”. Jeżeli powieszę te zdjęcia, to mam murowaną kontrolę z Towarzystwa Ochrony Zwierząt. – Marysia straciła wiarę w boskiego fotografa i jego marketingowy zmysł.

– Wiesz co, Marysiu, nie bądź taką fatalistką, idź ty sobie najlepiej na lody i przyjdź za dwie godziny, będzie plakacik, że ci oko zbieleje – Tomek nie lubił najwyraźniej, gdy podważało się jego kompetencje. Dwie godziny później Marysia nie mogła oczom uwierzyć, pysk szczęśliwy, błysk w oku, duma na czole – Franka wyglądała jak z kreskówki o psie Pluto; co prawda chwilę musiała się zastanowić, czy aby na pewno to jest jej pies, ale co tam, liczy się efekt. Przytulone do matki, z niewinnymi pyskami, leżały cztery szczeniaki. Całość wieńczył napis: „Psy dla dobrych ludzi – mało szczekają, mało jedzą, uszczęśliwią samotnych, porzuconych i nieprzystosowanych”. Na dole numer telefonu i imię Marysi.

– No i jak mała, nieźle, co? – pochwalił sam siebie Tomek – skseruj ten plakacik kilkanaście razy i rozwieszaj w marketach, na słupach, płotach, zobaczymy, jaki będzie efekt.

– Dzięki, naprawdę nie spodziewałam się, że tak to się da wyciągnąć w komputerze.

– Nie ma za co, ma się ten talent – powiedział bardzo zadowolony z siebie boski fotograf.

Rozdział 5

Ciotka Stefa nie mogła się zdecydować. Wybór w sklepie mięsnym był stanowczo zbyt duży, nawet biorąc pod uwagę jej nieprzeciętne zdolności kulinarne. Odkąd towaru było pod dostatkiem, kupowanie najprostszej rzeczy zajmowało sporo czasu. Dociekliwe pytania i porady sprzedawczyń wprawiały ciotkę w popłoch, często więc wracała z zakupów z przedmiotami zupełnie niepotrzebnymi. Teraz też zastanawiała się głęboko nad wyborem najlepszych wędlin i mięsa na cały weekend. Ciotka bowiem nigdy nie przyjęła do wiadomości, że sklepy są otwarte i w sobotę, i niedzielę, i że nie trzeba zaopatrywać rodziny w góry suchego prowiantu. „Nie, to mielone nie wygląda dobrze”, pomyślała przyglądając się krwistej mamałydze „stanowczo muszę wybrać coś delikatniejszego”, postanowiła i z rozmachem – upsss... – nadepnęła na nogę stojącego za nią jegomościa.

– O przepraszam pana najmocniej – ciotka Stefa zdawała sobie sprawę, że nie należy do zwiewnych nimf i takim nadeptaniem mogła komuś zmiażdżyć nogę. – Bardzo przepraszam, to przez przypadek, zamyśliłam się – kajała się czerwona jak pomidor.

– Stefa!!! Rany, Stefa!!! – jegomość najwyraźniej w ogóle nie poczuł nadeptnięcia.

– Michał? Misiu!!! Michaś?? eeeeeeee... – ciotce zacięła się płyta. – Skąd się tu wziąłeś! Tyle lat, przyjechałeś w odwiedziny?

– Przepraszam, kupuje pani, bo kolejka czeka? – niezbyt uprzejmie zapytała sprzedawczyni.

– Promocja sera, proszę skosztować, pyszny – wtrąciła swoje trzy grosze bladawa hostessa.

Ciotka Stefa miała zamęt w głowie. Atakowana z trzech stron, ponaglana wymownymi spojrzeniami kolejkowiczów zrobiła to, co jej podpowiedział instynkt – po prostu dała nogę...

Chwilę później razem z panem Michałem siedzieli sobie przy stoliku, popijając czekoladę. Ile osobistego uroku, siły perswazji i ciepłych

spojrzeń trzeba było użyć, by ciotka dała się zaciągnąć do „Amora” kameralnej kawiarenki dla zakochanych, pozostanie słodką tajemnicą amanta.

– A pamiętasz, jak przychodziłeś pod mój balkon, jak Romeo. Wszystkich sąsiadów pobudziłeś, jeden to chciał nawet po policję dzwonić...

– Wcale mu się nie dziwię, jak by mi ktoś w nocy grał na puzonie, też bym się wściekł. Aaaaa – zaczął się śmiać – wiesz, jak ja wtedy za ten puzon oberwałem, wykradłem go ojcu przed koncertem w filharmonii i tata musiał grać na trąbie. Przez tydzień musiałem naczynia po całej rodzinie myć za karę. Taaa, to były czasy miłość, przygoda, pierwsze buziaki – rozmarzył się Misiu, a ciotce zaszklily się oczy. – A ta twoja mała wścibska siostra, jak ona miała na imię? – Agnieszka. Jest teraz ze swoim mężem w Kanadzie, a ja opiekuję się ich córką Marysią i jej kotem... i psem – dodała po chwili zastanowienia – psami – poprawiła się szybko, uświadamiając sobie równocześnie, że myśli o tej całej menażerii jak o rodzinie.

– Na długo przyjechałeś z tej swojej Szwecji? – zapytała szybko, by nie wyczuł jej zmieszania.

– Na zawsze, Stefa, na zawsze – oznajmił Misiaczek, wlepiając swe oczy w purpurową ciotkę.

Rozdział 6

Marysia kończyła właśnie tęsknego maila do rodziców. Była mistrzynią przemilczeń i ogólników. Ani słowem się nie zająknęła o psach – ten temat był zbyt trudny. Co innego cudem odnaleziony narzeczony ciotki Stefy. Tu było pole do popisu i ploteczek – tym bardziej, że ciotka chodzi jak błędna i przypaliła placek, a to jej się jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło! Pan Michał wpadał teraz codziennie, elegancki, pachnący dobrą wodą kolońską, zabierał ciotkę do kawiarni i kina. Franczeska i Gruby Ziutek uwielbiali go i rywalizowali o względy, z utęsknieniem czekali na przynoszone łakocie. Psie przedszkole wdrapywało mu się na nogawki, lizało po twarzy i radośnie fikało nogami, ilekroć łaskotał je modnym, trzydniowym zarostem. Nie ma co, dodatkowy samiec w domu (na pierwszym miejscu był oczywiście Ziutek) wprowadził trochę ożywczego klimatu. Marysia też go polubiła, choć przez niego ciotka przeszła na dietę i od kilku dni żywiły się wyłącznie warzywami i sucharkami. Marysi, która zawsze dbała o figurę, było to nawet na rękę, przynajmniej przez pierwsze cztery dni. Dnia piątego zaczęła się zastanawiać nad powszechnym głodem w krajach afrykańskich, a szóstego nie wiadomo czemu przypomniała sobie szkielet z sali biologicznej. Ogólnie jednak życie z panem Michałem wydawało się trochę ciekawsze. Półgłosem przeczytała mail do rodziców:

Cześć Kochani,

Co tam u was? Chyba jesteście strasznie zapracowani, bo coś ostatnio mało piszecie. Ciotka zachowuje się poprawnie, nie mam z nią większych kłopotów wychowawczych, zwłaszcza odkąd pojawił się na horyzoncie pan Michał (podobno dawny chłopak ciotki; czy to w ogóle możliwe, zawsze wydawało mi się, że ciotka to zakonnica). Ziutek strasznie tęskni, czemu daję wyraz w Waszym łóżku i nie tylko... Gruby jest już tak, że ledwo się rusza, ale widać mu to nie przeszkadza, bo żadnej okruszynce nie pozwoli się zmarnować i

wciąga wszystko, jak odkurzacz. Moje koleżanki są na wakacjach, a ja co? (ten fragment miał szczególnie poruszyć sumienia rodziców) Tylko dom i komputer, czasem kino. Czy wy w ogóle się mną przejmujecie?! Samotną, porzuconą i to w wakacje? Jak będę miała dziecko, to go nie opuszczę na krok, nigdy...

Wasza porzucona córka

Marysia

Westchnęła znad klawiatury i wysłała wiadomość. Odpowiedź przyszła błyskawicznie, jeszcze zanim zdążyła się całkowicie rozkleić.

Córeczko kochana,

Przede wszystkim wywal kota z naszego łóżka, następnie weź ten atlas z górnej półki i pokaż Stefie zdjęcia otluszczonych zwierząt wraz z opisami chorób (może obrazki do niej przemówią). Jeżeli pan Michał to dawny Misiaczek, ten, który dawał koncert na puzonie pod oknem Stefy, doprowadzając twego dziadka do apopleksji, a mnie przekupywał słodyczami, to pogratuluj ciotce, bo na pewno nie będzie się nudzić.

Mam nadzieję, że tego dziecka nie będziesz miała za szybko J – biedne kontrolowane 24 h na dobę i niesamodzielne. Głupio tak za pociechą na randki chodzić...

Kochamy Cię bardzo, zjedz sobie kawałek czekolady, bo dobrze robi na rozum...

Dłuższy mail po czwartku, jak zwierzęta do nas przywykną, bo na razie mamimy je różnościami, a one okoniem stają i mają w nosie polskich biologów (tymczasem proponują nam zajęcie się preparatami, ale zdechłaków pod dostatkiem mamy na uczelni J. Podobno niedługo będziemy obserwować bizony...

Twoi kochający Cię nad życie, a zarazem wyrodni rodzice

No tak, oni to potrafią przywołać człowieka do porządku, żadnych sentymentów. Marysi odechciało się rozczulać nad sobą; właściwie to zachciało jej się śmiać. Dobrze wiedziała, że rodzice kochają ją szalenie i na pewno tęsknią, tak jak i ona. Znała ich od 12 lat i wiedziała, że nie pozwolą jej się zbyt roztkliwiać; wolą opisywać

śmieszne, wprawiające w dobry nastrój historyjki, niż biadolić nad rozstaniem. Nagły stukot przerwał jej rozmyślenia, domowe przedszkole dobierało się właśnie do kabli od komputera. Franczeska usiłowała zapanować nad dziećmi, ale przychodziło jej to coraz trudniej. Psia banda pod przewodnictwem Paszteta (najgrubszego i najsprytniejszego ze szczeniaków) usiłowała po kablach wspiąć się na biurko. Marysia chwyciła popiskujące psy i położyła je France na brzuchu.

– Pilnuj ich, błagam cię, bo zdemolują cały dom; co ja poradzę, że plakacik się nie sprawdza? – przemawiała czule do suki. – Jak się będą gdzieś wdrapywać, to wiesz, co masz robić, za kark i do legowiska – nakazała kategorycznie i poszła otworzyć wejściowe drzwi, do których od minuty ktoś się intensywnie dobijał.

– Cześć, mała – za drzwiami, we wdzięcznej pozie i siateczkowym podkoszulku stał sąsiad Robercik z kolegą.

– Dzień dobry – Marysia zachowała rezerwę, nie wiedzieć czemu sąsiad przypominał jej buraka.

– My w sprawie tego psa, który się oszczenił.

– Suki – uściśliła córka biologów.

– Nooo... tej lebiegi, co pod drzwiami stała. Kolega chciałby jakiegoś małego, do pilnowania domu – kolega potwierdził kiwnięciem głowy.

– Co tam, co tam? – do drzwi dobiegła ciotka – aaaaa... Marysiu poproś panów do środka, pieski są w pokoju siostrzenicy – ciotka Stefa niczym szef kontrwywiadu lustrowała przybyłych.

Franczeska uniosła głowę i także przyjrzała się gościom. Zapanowało krępujące milczenie.

– No to który jest najodważniejszy? – zapytał sąsiad.

Pasztet odruchowo wtulił się w matkę, zmniejszając się do rozmiarów piłeczki pingpongowej. Kolega-niemowa podszedł do szczeniaków i wziął Paszteta na ręce. Maluch zapiszczał, Franczeska warknęła, a niezauważony dotychczas przez nikogo Ziutek z pazurami rzucił się na wystającą z krótkich spodenek smakowitą, owłosioną łydkę sąsiada.

– Aaaaauuuuu, jasny gwint! Zostaw, co za bydlę, aaaaauuuu!!!

– Ziutek, zostaw!!! Ziutek, Ziuuteeek! – na ratunek ruszyły jednocześnie Marysia i ciotka Stefa.

– Zo-zo-zostaw ty-ty – niemowa okazał się jąkałą – Ucie-uciek-amy – wydusił z siebie, porzucił malucha i rozpoczął odwrót.

Gruby Ziutek odczepił się wreszcie od łydki pana Robercika i bezczelnie zwiął do kuchni. Szczeniaki, na czele z otumanionym Pasztetem, który pierwszy raz w życiu zobaczył gwiazdy, ruszyły prosto do nogawek cofającego się jąkały. Tego było już za wiele, popychając się wzajemnie, mężczyźni wyskoczyli na korytarz, zatrzaskując z łomotem drzwi.

Rozdział 7

Kiedy pół godziny później pan Michał wszedł do mieszkania przy Kopernika zastał dwie tarzające się ze śmiechu istoty, porozrzucane rzeczy i wylegującego się na parapecie, przeżartego smażoną wątróbką Grubego Ziotka. Uświadomiony, co do powodu radości pań, rozsiadł się wygodnie na krześle, popijając kawę podsypaną czterema łyżeczkami cukru.

– To bardzo dobrze, że nie wziął psiaka, miałybyście do końca życia wyrzuty sumienia, jeszcze by zrobił małemu krzywdę. Pasztet też chyba nie miał ochoty iść w obce ręce, ale Ziutek zachował się jak rasowy bulterier – spojrzał na kota z uznaniem.

– No tak, ale my musimy oddać te maluchy. Przecież Agnieszka obedrze mnie ze skóry, jak zobaczy to towarzystwo. Plakaty to totalna kłapa, tylko pan Tomek wierzy jeszcze w ich powodzenie. Marysia spojrzała na psiaki. Franczeska lizała je po kolei, przygniatając do ziemi niczym rasowy zapaśnik. Małe, jak to małe, wyrywały się, nie widząc większego sensu w myciu uszu i szorowaniu językiem grzbietu.

– Ale, ale zagadałyście mnie, a ja mam dla was propozycję. Jak wam drogie panie wiadomo, powróciłem ze Szwecji – zaczął dwornie pan Michał. – Zostaję tu już na stałe, od września zacznę pracę w biurze architektonicznym.

A ponieważ nie znoszę spędzać weekendów w mieście, kupiłem nad jeziorem dom letniskowy z ogrodem. Miałem takie urwanie głowy z przeprowadzką, że byłem tam zaledwie dwa razy. Miejsce jest piękne, jezioro blisko, słowem – zapraszam was na wakacje – skończył i spojrzał z wyczekiwaniem na swoją sympatię.

Ciotce Stefie nerwowo zaczęła drgać powieka, był to objaw niezwykłego napięcia połączonego z intensywną pracą umysłową.

– Nooo, sama nie wiem... – rozpoczęła niepewnie.

– Fajnie! To, kiedy jedziemy? – przerwała jej szybko siostrzenica.

– Marysiu, ja nie wiem, czy to tak wypada...

– Stefa, co ty mówisz, jakie wypada, czy my się od dzisiaj znamy? Pakujecie się i jazda, co tu dużo rozmyślać, życia szkoda.

Ciotce najwyraźniej spodobał się stanowczy ton Misia. Uwielbiała mężczyzn władczych, niestety zwykle natrafiała na powolnych, pozbawionych charakteru i wewnętrznego ognia pantoflarzy. Nie zdawała sobie sprawy, że na zasadzie przeciwieństw tylko takich przyciąga.

– OK! Raz się żyje. To kiedy jedziemy? – spytała z determinacją. Marysia omal nie spadła z krzesła, w dwadzieścia sekund ciotce ubyło dwadzieścia lat.

– Natychmiast – kuł żelazo póki gorące pan Misiaczek.

– No to jutro rano – wytargowała jego „chybadziewczyzna”.

Pakowanie samochodu, wystawiło na ciężką próbę kielkujący związek ciotki i jej wielbiciela. Toreb, torebek, siatek była niezliczona ilość. Jeden plecak Marysi był niczym w stosunku do reszty pakunków. Ciotka, która nigdy w życiu nie była na obozie, nie wiedziała, jak należy się pakować. Nic nie pomogły tłumaczenia Marysi, że przynajmniej połowa z tych rzeczy jest całkowicie zbędna. Ciotka i tak wiedziała swoje – przecież wszystko może się przydać. Największy problem stanowiło zapakowanie do auta psów i kota. Gruby Ziutek był przewożony w specjalnym wiklinowym koszyku, jednak przez ostatni rok tak utył, że ledwo się w nim, biedak, mieścił. Psy postanowiono zapakować do wyłożonej kocykiem skrzynki po jabłkach. Nikt nie przewidział jednak, że utrzymanie ich w tym samym miejscu przez godzinę jest niemożliwe i, o zgrozo, że Franka ma chorobę lokomocyjną. Już po piętnastu minutach zapaskudziła tapicerkę, swoje dzieci i nowiutką spódnicę ciotki. Wietrzenie i sprzątanie częściowo strawionego psiego śniadania odbyło się szybko i wstydliwie. Ciotka Stefa z olbrzymią plamą na kolanach wyglądała jak kupka nieszczęścia, modliła się w duchu, żeby „jej mężczyzna” (jak w myślach zaczęła nazywać Misiaczka) po takim wstępie, nie zrezygnował z wakacyjnych planów. Pan Michał był jednak dżentelmenem, psy lubił, a o samochód nigdy zbytnio się nie troszczył. Raz, dwa posprzątał więc auto i ruszyli w dalszą drogę. Franka, wyrzuciwszy z siebie całe śniadanie, nie zakłóciła już więcej

podróży. Po godzinie srebrny ford zatrzymał się przed obrośniętą winobluszczem furtką.

– Och! – jęknęła ciotka na widok pięknego ogrodu.

– Och! – jęknęła Marysia na widok drewnianego domku.

– Och!!! – jęknął Misiaczek – zapomniałem kluczy...

Do podekscytowanych mieszczek dopiero po chwili dotarła straszliwa prawda.

– To co my teraz zrobimy? – ciotka Stefa oklapła jak balon.

– Żebym choć sąsiadów znał, to bym poprosił o pomoc, a tak głupio chyba od razu o przysługę prosić – zastanawiał się głośno „jedyne prawdziwe mężczyzna”.

– Jakie głupio, jakie głupio – zza pleców dobiegł go świszczący głos

– pan Michał zapewne? Pani Kasia mówiła, że taki przystojny pan kupił ten dom i jakim Krapkowi, to musi być pan we własnej osobie. Pewnie z rodziną, a jakże, tu wszyscy się znają i wszyscy są pana ciekawi.

Przed podróżnymi stanęła mała kobiecina w nieokreślonym wieku.

Na jej twarzy widać było pierwsze zmarszczki, oczy miała piwne, lekko skośne, przyjaźnie patrzące na przybyszów. Cechą rzucającą się w oczy był brak górnej jedynek.

– Yyyy, dzień dobry, rzeczywiście jestem nowym właścicielem domku

– Michał Rybakowski – przedstawił się elegancko. Zapomniałem kluczy i chyba muszę wrócić po nie do miasta.

– Dzień dobry, ssss...Zofia Krapkowi – jak pan chce, ale tu jest Rudy, on już niejednego ratował z opresji, wszystko potrafi, bez kluczy wejdzie nawet do banku – Krapkowi ugryzła się jednym zębem w język, jakby powiedziała o słowo za dużo. – Wejdzie do domku i otworzy drzwi z drugiej strony, potem pan ssssobie tylko zamki wymieni.

– To chyba rzeczywiście lepszy pomysł i szybszy. A gdzie by tego Rudego można znaleźć? – spytała ciotka Stefa.

Pani Zofia pomieszała chwilę w pomiętej spódnicy, wyjęła komórkę i wystukała numer telefonu.

– Rudy? Przyleć tu szybko. Pan Nowy ma problem z wejściem do drewnianego domu po Kaśce, od razu biegnij, przecież nie będą tak stali jak słupy – schowała telefon do przepastnej kieszeni spódnicy. –

Zaraz będzie, szybki jest, tylko latawiec jak mało który, ciągle go nosi. Trzydziestka na karku, a roboty żadnej nie ma...ssss.... – zaświstała przez dziurę po jedynce – i wcale jej nie szuka. Doigra się kiedyś, wszyscy mu to mówią, a ten bimba sobie tylko, pieniądze diabli wiedzą, skąd ma – Krapkowa rozkaszała się trochę.

– Dziękujemy bardzo, a pani tu od dawna mieszka? – spytał Pan Nowy.

– A ja od urodzenia, bo tu widzi pan, podział jest: na miejscowych, co tu z dziada pradziada żyją, i nowych, którzy jak się zorientowali, że tu jest ładnie, że jest jezioro, las, cisza, to pobudowali domki letnisssskowe – zaświstała i nabrała oddechu. – My żyjemy tu cały rok, oni zjeżdżają tylko na weekendy i wakacje. Ale to dobrze, dzięki takim jak wy możemy trochę jaj, mleka czy kur sprzedać, sklepik jest od razu lepiej zaopatrzony, tylko dzieciakom się we łbie przewraca... komputery, gry, ciuchy... szkoda gadać – machnęła ręką.

Marysia dawno już nie słuchała tego, co świstała kobieta. Z daleka zobaczyła przygarbioną sylwetkę z czerwoną czupryną. Młody mężczyzna ubrany był w dżinsy i koszulkę z napisem „Dora – sery najlepsze na świecie”, ręce niedbale wbijał w kieszenie. Szedł, kopiąc po drodze wszystkie napotkane kamyki.

– Szacuneczek – powiedział, gdy zbliżył się już na odpowiednią odległość.

– No, jesteś nareszcie, trzeba wejść do ogrodu i domu, bo państwo kluczy

zapomnieli – nakreśliła plan pani Zosia.

– Się robi, tylko trza się obrócić, bo tajemnica zawodowa, no nie? – powiedział wyjmując z kieszeni kawałek drutu.

Cała grupka, jak na komendę zrobiła obrót. Chwilę słychać było, jak Rudy mocuje się z zamkiem od furtki, krótki szczęk i przeciągły skrzyp oznajmiły stojącym, że pierwsza bariera została pokonana.

Weszli do ogrodu. Marysia, urodzona i wychowana w mieście ogrody znała tylko z bajek i filmów. O ogrodzie, który właśnie zobaczyła, mogła powiedzieć tylko, że jest piękny. Nie potrafiła nazwać żadnej rośliny, żadnego kwiatka, ale wszystko jej się tutaj podobało – stylizowana ławeczka pod drzewem, ozdobna, nieco staroświecka pompa, ukryta w gęstej roślinności altana, żwirowe ścieżki okalające

dom. Całość wyglądała jak angielska, trochę zaniedbana posiadłość z ubiegłego wieku. Weszli na drewniany ganek, Rudy zaczął majstrować przy drzwiach wejściowych.

– Z tym nie pójdzie mi łatwo. Mogę go trochę zepsuć? – zapytał.

– Jak musisz to psuj, byle tylko nie trzeba było całych drzwi wymieniać – zastrzegł sobie ukochany Stefy.

– Jeszcze chwileczkę i będzie w porzo – zakomunikował z satysfakcją. – No jest, proszę bardzo. Uwaga! Wejście smoka! – krzyknął Rudy i pierwszy wepchnął się do środka.

Marysia usłyszała huk i męskie nogi w siedmiomilowych buciorach fiknęły jej przed nosem.

– Synek, ty chyba trochę narwany jesteś, dzięki za pomoc, masz tu dwie dychy i do widzenia – zdenerwował się pan Michał.

Rudy migiem poderwał się na nogi.

– Należy się stowa – trzy dychy za furtkę i siedem dych za drzwi od domku.

– Rudy! Rozum ci odjęło? Bierz, co pan daje, i szoruj, bo jakem Krapkowa jeszcze ci szmatą przyleję. Patrzcie go, biznesmen się znalazł, targować się będzie.

Rudy łypnął okiem i schował pieniądze.

– No dobra, niech będzie, włam w promocji, wyjątkowo dla sąsiadów

– powiedział i odwrócił się na pięcie.

Przez chwilę goniło go jeszcze pomstowanie Krapkowej.

– Promocja!!! Widzicie oberwańca, jak ja ci pokażę promocję, to do końca życia popamiętaszszsz... – z emocji świszczła dwa razy głośniejsze.

– Dziękujemy pani za pomoc, naprawdę nie wiem, co byśmy bez pani zrobili – pan Michał potrząsał dłonią oburzonej Zofii, dyskretnie ustanawiając kurs na drzwi. – Dziękuję, bardzo, bardzo, przy okazji zapraszamy na kawkę, dziękuję i do widzenia – powiedział, wypychając kobietę z wiatrołapu.

– Uff – oparł się o framugę – mam nadzieję, że teraz wszystko pójdzie jak z płatka. Dziewczyny najwyższy czas się wypakować i odpo... O do diabła! Zapomnieliśmy o zwierzętach! – krzyknął pan Misiu i wszyscy rzucili się do forda, z którego dobiegały już piski, wycie i drapanie.

Szczeniaki, którym znudziło się wpatrywanie w deskę rozdzielczą, postanowiły trochę się rozruszać. Nie zważając na przyszywanego ojca – kota i fukającą matkę, rozpoczęły szaleńczą gonitwę między siedzeniami. Przy okazji szarpały i ciągnęły wszystko, co się dało, wypróbowując ostrość nowo nabytych mleczaków i siłę swoich pazurów. Pasztet, który najwyraźniej wdał się w przyszywanego ojca – z pożądaniem w oczach smakował gaśnicę.

Rozdział 8

Nowy dzień przywitał wszystkich pięknym słońcem. Marysia dawno tak dobrze nie spała; zarówno ona, jak i ciotka Stefa dostały swoje pokoje. Dom, mimo że letniskowy, miał aż cztery sypialnie, a na dole wieki salon z jadalnią i kominkiem. Po wczorajszym zamieszaniu z kluczem i zwierzętami, którym zamknięcie w samochodzie najwyraźniej podziało na wyobraźnię, wszyscy byli wykończeni. Sprzątanie samochodu tonącego w pianie, mycie potworów i rozpakowywanie zabrało im czas do wieczora. Po krótkiej naradzie, zwierzętom wymoszczono dwa gniazda na drewnianej werandzie. Początkowo pchały się do domu, ale żelazna konsekwencja ciotki Stefy spowodowała, że z nosami na kwintę i cichą skargą na pyskach posłusznie kładły się na tarasowym legowisku. Marysia na wspomnienie pyszności przygotowanych przez ciotkę Stefę na wczorajszą, inauguracyjną kolację, oblizała się ze smakiem. Ciotka, co prawda jadła jak ptaszek (w końcu niedługo będzie musiała pokazać się amantowi w stroju kąpielowym), ale za to reszta towarzystwa, pałaszowała przysmaki bez opamiętania. Dziewczynka wstała, przeciągnęła się z lubością i zerknęła przez okno. Natychmiast zrobiła przysiad. Powoli, podnosząc się do poziomu parapetu, spojrzała jeszcze raz. No tak, nie ma wątpliwości. Stał przed płotem, w towarzystwie dwóch chłopaków i dwóch dziewczyn. Rozmawiali o czymś, żywo gestykulując i co chwila wybuchając śmiechem. Wyglądali na starych znajomych. Ale co On tu robi? Jakim cudem tu się znalazł?

– Maryyyysiu, Maryyyysiu, pobudka, śniadanie gotowe!!! Słyszysz, Maryyyyysiu?! – tubalny głos ciotki Stefy słyszeli nawet Papuasi.

– Idę, już idę! – krzyknęła Marysia i czołgając się po podłodze niczym partyzant dobrnęła do drzwi.

– Wyobraź sobie – opowiadała ciotka, nakładając jej porcję dla słonia – że z Misiaczka to prawdziwy ranny ptaszek. Wstał o siódmej i poszedł biegać, przybiegł po kąpielówki i poszedł pływać, potem

poszedł po świeże jajka do pani Zofii, a teraz jest w ogrodzie i drzemie pod jabłonią. O dziewiątej rano drzemka! Musiał się nieźle nadwreżyć! – ciotka Stefa zachichotała jak nastolatka.

– Musi uważać na serce, przy takim tempie zawał murowany – córka biologów co nieco na ten temat wiedziała.

– Co ty powiesz, muszę zwrócić uwagę na jego dietę – zamyśliła się ciotka Stefa, która słowo „dieta” ostatnio wzięła sobie do serca.

– Aaa, właśnie, co ja chciałam? – ciotka miała ostatnio problemy z koncentracją. – Już wiem, podobno jest tu parę dzieciaków w twoim wieku. Idź, rozwiń się towarzysko, bo zupełnie zdziczejesz.

– Phi! Dzieciaków?!! – prychnęła oburzona Marysia.

– Nooo, będziesz miała przyjaciół jakichś, a nie tylko dorośli i zwierzęta.

Niby racja, co jej szkodzi. Pójdzie, najwyżej jak jej się nie spodoba, to pod jakimś pretekstem zawróci,. A może będzie fajnie? Ale co On na to?! Padnie trupem, jak ją zobaczy. Ale reszty nie zna. A te dwie dziewczyny wyglądają na takie raczej damulki. Mini, sandałki jak z okładki czasopisma o modzie.

E tam, będzie co ma być, do Kostka i tak już nic nie czuje...

Wysłuchała się w swoje serce... Nie, no nic a nic, pustka.

Przypomniała sobie, jak uganiał się za nią w szkole. Ona niby to obojętna, ale tak naprawdę nieźle spanikowana. Ciągłe chciał pożyczać książki, przeczytał chyba całą biblioteczkę. Nawet dobrze im się gadało. Ale na dyskotekę to poszedł z inną, nawet na nią nie spojrzał, Casanova jeden. Zażądała zwrotu wszystkich książek, biedak z kolegą musiał je przydzwigać...

Podziękowała za śniadanie i pobiegła umyć zęby.

Spojrzała w lustro; no tak, znowu pryszcz i to na środku czoła.

Przejechała po nim korektorem ciotki, pryszcz wyglądał jak zabetonowany. Jedynym ratunkiem jest czapka z daszkiem, zakryje pryszcz i oczy, dzięki niej będzie czuła się pewniej. Szybko przekopała plecak. Wydobyła nieco spłowiałe džinsy, czarną koszulkę i czapeczkę. Spojrzała w odbicie w szybie. Ogólnie nieźle, klasyka gatunku, bez przesady, prosto i wygodnie. Espadryle dopełniły całości. Tak ubrana Marysia gotowa była na odnawianie starych i zawieranie nowych znajomości.

Ledwie uszła parę kroków, poczuła, że jest śledzona. Co u licha? Omamy? Przeszła parę metrów i znowu to uczucie, że ktoś ją obserwuje. „Nie, no przecież nikogo tu nie ma” podpowiadał rozsądek. „A może jednak” licytowała się intuicja. Dla świętego spokoju postanowiła sprawdzić. Pobiegła kawałek, gwałtownie skręciła i schowała się za rozłożystą lipę. No, tak...wszystko jasne. Usłyszała bezradnego Paszteta, który pogubił się zupełnie, śledząc swoją panią. Wyhamował na środku drogi, tarasując przejście dwóm żukom i jednej ropusze. Patrzył teraz baranym wzrokiem na szarobrazowe cudo i skomlał przeraźliwie. Ropucha, zdziwiona włochatą kulką, nadeła się należycie, dwukrotnie zwiększając swoją objętość; tylko żuki, niezrażone Pasztetem, spokojnie turlały swoje kulki.

– Pasztet! Ty rozbójniku – krzyknęła Marysia. Szczeniak, omijając szerokim łukiem nadętą ropuchę, radośnie podbiegł do swojej pani.

– Jak mogłeś mnie śledzić i w ogóle, kto ci pozwolił wyjść samemu z ogrodu?!

Pasztet przyjmował potulnie wymówki, liżąc Marysi wszystko, co podeszło mu pod mordkę.

– Pastet, Pastet – usłyszała nagle z boku. – Chodź do Kubusia!

Pasztet, o dziwo, ruszył sprintem prosto do sepleniącego malucha.

Marysia zrobiła zwrot w bok i w całej swojej krasie ukazał jej się... piękny niczym elf, smagły jak arabski szejek i wysoki jak osiedlowy wieżowiec... Kostek. Za nim stały jeszcze dwie dziewczyny i blady (zwłaszcza w porównaniu z „Murzynem”), piegowaty chłopak.

Szybko wstała z klęczek.

– Księżniczka Anna spadła z konia? – zażartował Kostek na przywitanie. – Proszę państwa – zwrócił się bezpośrednio do reszty – oto Marysia Wejchert, obiekt westchnień wielu mężczyzn, niestety jeszcze nikt nie doczekał się łaskawego traktowania z jej strony.

– Kubuś może Pasteta? Moze? – przerwał mu mały, tarmosząc księżniczkę za spodnie.

– Cześć, Kubuś może Paszteta, pod warunkiem, że Kostek przestanie łąć jak najęty.

– Ja jestem Jasiek – piegowaty uśmiechnął się szeroko, pokazując światu piękny, różowo-metalowy aparat ortodontyczny. – A to Kaśka,

dla przyjaciół Kika i Ada – dokończył prezentacji. Kika posłała Marysi perskie oko. Ada nie zdążyła się odezwać, wrzasnęła tylko – Aaaaaaaaaaaaaa!!!! – i zamarła z uniesioną nogą.

– Pastet umie siusiu – skomentował maluch. – A ja jestem Kubuś, brat tego dużego – przedstawił się sam i wskazał paluszką na Kostka.

Jedynie Ada nie potrafiła się jakoś śmiać z dowcipu Paszteta. Szczeniak spowodował, że spięta początkowa Marysia, wyluzowała się zupełnie. Jaśka nie sposób było nie polubić, dowcipny, w obszarpanych džinsach i aparacie ortodontycznym rozmiękczał podobno nawet panią Krapkową, która wciskała mu zioła na porost włosów i proste zęby. Kika była najniższa i najdrobniejsza z nich wszystkich; według Kostka to przez rodziców, którzy wypróbowywali na córce wszystkie sporty świata. Zamęczyli więc biedactwo – dwa razy w tygodniu pływanie, tenis, judo. Niestety w żadnej z tych dziedzin córka nie zapowiadała się na olimpijską medalistkę, więc w akcie desperacji postawili na jogę. Każdy poranek dziewczyna zaczynała od kwiatu lotosu i serii wdechów uspakajających... jej rodziców. Ada wyglądała przy Kice jak tyczka, lecz w przeciwieństwie do niej była sportowym zerem. Patyczaki miałyby kompana, długie ręce i nogi przeszkadzały jej nieco w chodzeniu, płacząc się bez sensu i celu. Ada, skoncentrowana głównie na własnym ciele, mówiła mało i ze szczególnym namaszczeniem. Za to dużo, choć nie zawsze zrozumiale, mówił trzyletni Kubuś. Nie miał kompleksów na punkcie swojego „r” i z zapałem powtarzał podsuwane mu perfidnie wyrazy typu: rarytas, ramtamtam czy rabarbar. Marysia już po pięciu minutach czuła się, jakby znała ich całe życie. Wszyscy byli fajni, nawet Kostek był zupełnie inny niż w szkole, bardziej ludzki, swobodny i o wiele sympatyczniejszy.

Po ekspresowym (jak na Adę) przebraniu się w nowe portki, całe towarzystwo pod przewodnictwem Kubusia i szalejącego Paszteta postanowiło wybrać się do lasu na jagody.

Już po dziesięciu minutach okazało się jednak, że szczeniaka trzeba wziąć na ręce. Płatał się w liściach, biegał za każdym robakiem, potykał o najdrobniejsze gałęzie. Kubuś dzielnie maszerował ze swoim nowym przyjacielem. Gdy dotarli wreszcie na jagodową

polankę, od razu rzucili się zbierać owoce. Rzecz jasna nikt nie pomyślał o jakichkolwiek naczyniach, jagody od razu lądowały w buzi. Kuba i Pasztet byli cali w modnych fioletach. Szczeniak myślał początkowo, że jagody służą do tarzania, Kubuś uświadomił go jednak szybko, co do prawdziwego ich przeznaczenia, wciskając w pysk garść zgniecionych owoców.

– Matko kochana, nie mogę patrzeć na jagody – złapał się za brzuch Jasiek.

– Ciekawa jestem czy domyjesz aparat, wyglądasz jak zombi – zachichotała Kika, wyszczerzając fioletowe zębiska.

– Kuba! Pokaż się, brachu. No, tak... – Kostek oglądał zsiniałego malucha – jak nic mam w domu kazanie.

– Mniam, mniam – mlasnął zadowolony Kubuś.

– Aha – odpowiedziała małemu rozmowna Ada.

– Wiecie co, tu niedaleko jest takie super miejsce – paśnik, do niego nawet latem przychodzą sarny, możemy zobaczyć, a nuż coś przykuśtyka – Kika była tu nie raz, zimą pomagała leśniczemu uzupełniać zapasy dla zwierząt.

Najpierw trzeba było jednak wyciągnąć Pasztetowi jagody z uszu i wytrzeć nos Kubusiowi, który uczulony na jakieś zielsko, zaczął łzawić, smarkać i prychać. Do paśnika było kilka kroków.

– Ale fajnie, na pewno mają tu niezłą wyżerkę – Jasiu najwyraźniej był głodny.

– Mają, mają. Możemy tu przyjechać zimą, tylko czasami trzeba posiedzieć nawet dwie godziny, żeby coś zobaczyć – Kika oglądała paśnik z miną wytrawnego leśniczego.

– Dwie godziny, zimą... na mrozie...dziękuję pięknie, jestem ciepłolubny – Jasiu przełknął ślinę.

– I wszystkożerny – dodał Kostek – Wracamy, zjadłbym coś.

– Proponuję jagody – Marysia wcale nie chciała być zgryźliwa, złośliwości pod adresem Kostka wymykały się same. Ciężkie spojrzenie chłopaka trochę ją jednak zastopowało.

– Idziemy – zakomenderowała Ada.

Ruszyli i zaraz stanęli jak na komendę, spoglądając na paśnik. Tam, w pozycji siedzącej, Kubuś z Pasztetem przykuci kajdankami, jęczeli jak potępieńcy. Szczeniak miał kajdanki założone w formie

eleganckiej obroży, mały zadowolili się ich tradycyjnym zastosowaniem. Pozostałe części były zaczepione do nóg paśnika.

- Kuba, no nie wygłupiaj się, wstawaj, idziemy – Kostek podjął się negocjacji.
- Nie mogem... – zawył mały.
- A to czemu?
- Kubuś nie ma klucyka i Pastet też nie ma klucyka.
- Aaaaaauuuuu – potwierdził słowa przyjaciela pies, wyginając uwieczoną szyję.
- A gdzie jest klucyk ? – ostrożnie zapytała Marysia.
- Świnka go zjadła – maluch zawsze był prawdomówny – Dobry był, to zjadła.
- Kuba, tylko mi nie mów, że ta świnka jest w domu!!! – krzyknął Kostek.
- W domu, a gdzie ma być, śpi i pieniążków pilnuje – wywnętrzył się ostatecznie fioletowy potwór, głośno kichając.

Rozdział 9

Znalezienie świnki-skarbonki zostawiono Kostkowi i Jasiowi. W tym samym czasie dziewczyny streszczały zasmarkanemu Kubusiowi siódmą bajkę z serii „Opowieści tajemniczego lasu” i powoli zaczynały popadać w panikę. Kubuś za nic nie chciał się przerzucić na cykl bajek optymistycznych, pozwalając im wybierać między „Czerwonym kapturkiem” a „Jasiem i Małgosią”. W samą porę nadciągnęli chłopcy, z daleka wymachując srebrnym kluczykiem. Po uwolnieniu skazańców, pozostawało jeszcze poinformowanie małego o rozbebeszeniu świnki. W imię spokoju i szczęśliwego powrotu do domu postanowiono chwilowo to przemilczeć.

W domu czekali już na Marysię rozgorączkowani Ciotka Stefa ze swoim Misiaczkiem.

– Jesteś nareszcie! Gdzie się podziewałaś tak długo! Szczeniaków nie ma! Zniknęły! – krzyczeli na przemian.

– Jak to nie ma? Przecież jak wychodziłam, bawiły się na tarasie. Tylko Pasztet poszedł za mną – powiedziała Marysia, wyciągając zza pleców fioletowego, nieco wymiętego psa.

– A jemu co się stało? – zatroszczyła się ciotka.

Marysia, chcąc nie chcąc, streściła ciotce i panu Michałowi dopołudniowe leśne przygody. Oboje z trudem powstrzymywali się od śmiechu.

– Widocznie maluchy wyszły za Pasztetem... – snuł przypuszczenia Misiaczek. – Wyszły i gdzieś się zaplątały.

– Zwariować można. Gruby Ziutek ciągle miauczy, Franka szczeka i szuka maluchów po całym ogrodzie. Trzeba zacząć regularne poszukiwania i to w całej okolicy. One mogły powędrować dalej, niż nam się wydaje. Idź się przebierz, bo wyglądasz jak ufoludek.

– Zaraz ustalimy, gdzie kto idzie – zakomenderowała ciotka, która uwielbiała wyzwania.

Misiaczek gapił się na swoje bóstwo, jak ciele w malowane wrota.

Widać było, że pod taką komendą gotów jest szukać szczeniaków do

wiosny. W ogóle robił się coraz bardziej uzależniony. Ciotka rozpanoszyła się w całym domku, jej radosny śpiew budził o świcie nawet ptaki. Rześka i zadowolona gotowa była jeść śniadanie o piątej rano. Misiaczek oczywiście dzielnie jej towarzyszył, twierdząc, że wczesne wstawanie w wakacje świadczy o niezwykłej witalności Homo sapiens. Co do Marysi, to wołała tradycyjne wylegiwanie się w łóżku i powolne kontemplowanie poranka. Dziewczynka szybko się przebrała, w biegu zrobiła sobie kanapkę (ciotka nie miała głowy do obiadu) i gotowa do akcji stawiała się w sztabie dowodzenia, czyli przy tarasowym stoliczku. Ciotka podzieliła najbliższą okolicę na trzy okręgi poszukiwawcze.

– Wszyscy mają komórki, więc jakby ktoś wpadł na trop psów, ma natychmiast powiadomić o tym resztę ekipy. Jasne? Pasztet zostaje zamknięty w łazience.

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem i każdy poszedł w swoją stronę. Marysi przypadł rejon od domu w stronę jeziora. Był tam mały zagajnik i parę domków letniskowych. Do jeziora szło się przez wielką polanę, na której roiło się od owadów. Marysia zapomniała już, jak uciążliwe potrafią być komary, osy i meszki.

Właściwie powinna wrócić i posmarować się jakimś preparatem. Ale, co tam – pomyślała, trzeba się hartować. Od nawoływania psów zaschło jej w gardle, chwasty niemiłosiernie łaskotały w nogi. Gdzie te szczeniaki mogły pobiec?

Są małe, zawsze trzymały się blisko matki, logicznie myśląc, powinny być w okolicach domu. Przestraszyły się czegoś i schowały gdzieś głęboko albo weszły do miejsca, z którego nie mogą wyjść. Doszła do jeziora. Pusto. Postanowiła przejść się jeszcze kawałek brzegiem plaży, może zabłąkały się gdzieś w przybrzeżnych zaroślach.

Przedarła się przez krzaki i szła wąską ścieżką okalającą jezioro. Z daleka od głównej plaży brzeg stawał się coraz bardziej stromy i nieregularny. Marysia dotarła do malutkiej zatoczki, piaszczystej i całkowicie ukrytej przed oczami plażowiczów. Dobre miejsce do pływania – pomyślała. A może by się trochę ochłodzić? Po kąpieli lepiej się myśli. Niestety, nie wzięła stroju. Szybka kąpiel w bieliźnie – przemknęło jej przez głowę. Na tym odludziu i tak jej nikt nie zobaczy. A, co mi tam! – powiedziała na głos i zaczęła się rozbierać.

W bawełnianych majtkach i bieliźnianym staniku wskoczyła do wody. Jezioro po deszczu było cudowne. Czysta, ciepła, pozbawiona wodorostów i rozwrzeszczanej dzieciarni woda zapraszała do kąpieli. Dziewczynka stała właśnie zanurzona po szyję upajając się chwilą, gdy nagle krzaki poruszyły się i wyszedł z nich we własnej osobie... Kostek. U jego boku pałętał się zasmarkany Kubuś. Zamarła, miała ochotę natychmiast zanurkować i nigdy więcej już nie wypłynąć. Jakaś zabłąkana ryba przepłynęła jej między nogami, Marysia wrzasnęła jak opętana. Nienawidziła ryb, prawie tak samo, jak niespodziewanych plażowiczów na pustkowiu.

– Ooo, cześć, widzę że znalazłaś naszą pustelnię – zdziwił się Kostek.

– Ooo! syjena, jaka duza! – zawołał w zachwycie sepleniący maluch.

Marysia nie miała ochoty na dłuższą konwersację w tym stroju.

Mruknęła coś pod nosem, wykonując jednocześnie pod wodą gwałtowne ruchy nogami. Zaczynało jej być zimno.

– Syjena Majysia? – zdziwił się mały, bez fioletów prezentował się jak człowiek. – Daj buzi Kubusiowi, piękna syjeno.

– Syjena, syjena, chodź do Kubusia. Zimna woda, Kubuś ogzeje syjenę!

Marysia nie mogła się z maluchem nie zgodzić, woda była coraz zimniejsza. Wolała jednak zamienić się w sopel lodu niż pokazać się tym dwóm dżentelmenom w barchanowych gaciach i bieliźnianym staniku. Postawiła na swoją inteligencję.

– Moje szczeniaki zginęły, właśnie ich szukam.

– W jeziorze? – zdziwił się Kostek. – Myślisz, że zachciało im się pływać?

Marysia zacisnęła zęby.

– Sprawdzam linię przybrzeżną, może się gdzieś tu zawieruszyły – wycodziła.

– No to my ci pomożemy szukać, wyłaź z tych wodorostów – Kostek jednak miał coś z ciotki Stefy.

– Idźcie pierwsi dalej wzdłuż jeziora, ja popłynę jeszcze kawałek sprawdzić tamte szuwary przy brzegu i za chwilę się spotkamy.

– Kubuś chce z syjeną! – oświadczył kategorycznie mały tyran. – Syjena, pokaz ogon! – poprosił.

Syjena zgrzytnęła zębami, dziękując w duchu rodzicom, że nie obdarowali jej rodzeństwem. Zrobiła fikołka w wodzie i wystawiła malcowi na pokaz dwie chude nogi.

– Ooo, syjena bez ogona – pożalił się bratu. – Kubuś chce do domu – obraził się mały i ruszył w las.

– Kuba, zaczekaj, zaczekaj! – Kostek przytłoczony bratnim obowiązkiem rzucił się w pogoń za maluchem.

Marysia, wykorzystując moment, wyskoczyła z jeziora i drżącymi rękami wciągnęła na moką bieliznę resztę garderoby. Na biuście i pupie natychmiast zarysowały się pokaźne placki.

Nie przejęła się tym zbytnio, plamy szybko wyschną, najważniejsze, że udało się uniknąć kompromitacji. Gdyby nie Kubuś, mogłaby siedzieć w tej wodzie aż do nocy. Poczuła wdzięczność dla trzylatka, w sumie fajny maluch, nazwał ją syreną. A syreny słyną z piękności i... wrednego charakteru, przypomniała sobie natychmiast. Ciekawe, czy mały studiował już mitologię? Marysia odzyskała humor. Dała nurka w krzaki i już po chwili stała na leśnej ścieżce oko w oko z Kostkiem i Kubusiem.

– To co, idziemy szukać? – spytała panów.

– Kubuś szuka Pasteta.

– Nie Paszteta, tylko jego rodzeństwo, wyglądają podobnie – wyjaśniła.

– Duzo Pastetów.

– Można tak to ująć – przytaknęła Marysia i chwyciła Kubusia za rękę.

Przeszukali brzozowy zagajnik. Szczeniaków nie było. Przeszukali nabrzeże. Szczeniaków nie było tu także. Po godzinie chodzenia po lesie, łąkach i ugorach, musieli uznać swoją porażkę. Byli zmęczeni, głodni a Kubuś prawie spał na stojąco.

– Wiesz co, mimo wszystko fajnie się spędza z tobą czas – zebrał się na wyznanie Kostek

– Dlaczego mimo wszystko?

– No, mimo że jesteś dziewczyną, mimo że nie jesteś taka łagodna, na jaką wyglądasz, no i mimo, że jesteś Syreną – zbliżył się do Marysi na niebezpieczną odległość.

– Syjeną – poprawiła go Marysia – jestem piękną Syjeną, przynajmniej dla Kubusia.

– Nie tylko dla Kubusia – powiedział Kostek i zbliżył się jeszcze bardziej.

– Auuuć, auuć, osa!! – zakrzyknęła w odpowiedzi Marysia i chwyciła się za szyję.

Akurat ten, jedyny być może w życiu, romantyczny moment wybrała sobie osa, by odpocząć. Apetyczna, młoda szyja nadawała się na krótką przerwę wyśmienicie. Szyja puchła z prędkością światła, zamieniając się w brązowo-czerwoną banie. Marysia z trudem powstrzymywała się od płaczu.

– Trzeba koniecznie wyciągnąć żądło – zdecydował Kostek po szczegółowych oględzinach bani. – Mogę je wyssać, tak robiła zawsze moja babcia.

Wizja wpijającego się w jej szyję wampira – Kostka otrzeźwiła na chwilę Marysię.

– W żadnym wypadku, ani się waż! – ostrzegła. – Idziemy do domu.

– Dobra, Kuba tempo do domu, bo naszej syrenie szyja spuchła.

Kuba, gdzie jesteś?

Pytanie było całkiem sensowne. Bowiem Kuba, znudzony amatorami brata postanowił na własną rękę poszukać szczeniaków.

– Rany, chyba zwariuję, Kuba!!! Kubusiu!!! Dlaczego ja mam brata? Chwili spokoju!!!

Kostek i Marysia rzucili się na poszukiwania. Przeszukali każdy zakątek w odległości kilku metrów. Wszystko na nic, Kuba zniknął. Szyja Marysi wyglądała, jakby przyczepił się do niej arbus, głowa jej pękała, a poczucie winy nie pozwalało ani na chwilę przystanąć i pomyśleć. Działali instynktownie, przestali się do siebie odzywać. Zresztą, co mieli powiedzieć? Że szukając psów zgubili dziecko?

– Musimy wrócić po pomoc – powiedziała grobowo Marysia. – Sami nie damy rady.

– Musimy – odpowiedział jak echo Kostek.

Biegiem rzucili się ścieżką do domu. Przebiegnięcie dróżki w lesie zajęło im zaledwie parę minut, słoneczną polanę pokonali sprintem nie zważając na miliony komarów i meszek. Już wbiegali na drogę prowadzącą do domków, gdy nagle stanęli jak wmurowani. Na

dużym przydrożnym kamieniu siedział zbieg Kubuś z poszukiwanymi szczeniakami. Siedział i je pouczał:

– Pastety, gdzie mamusia? Syjena da Kubusiowi buzi, tak da buzi...

– Kubuś, rany! Kuba, jak mogłeś odejść. Szukamy cię od piętnastu minut. Kubuś, ech...

Kostek chwycił brata i mocno przytulił. Marysia poczuła, jak z jej serca spada ogromny kamień, poczuła również, że zaraz upadnie. W ostatnim przyływie świadomości, poczuła, że szczeniaki liżą ją po poranionych kostkach i wtedy najspokojniej w świecie zemdlała.

Rozdział 10

Wydawało jej się, że słyszy odległe głosy i krzyki. Czuła, jak jakieś ręce podnoszą ją i wkładają do łóżka. Tylko, skąd to łóżko na polanie, chyba jej się to wszystko śni. Tak, to przecież niemożliwe, żeby zginęły szczeniaki i Kubuś, i żeby ją użądliła osa – i to wszystko prawie jednocześnie. Ach i jeszcze Kostek! Wspomnienie słodkiego sam na sam całkowicie ją orzeźwiło.

Otworzyła oczy. To, co zobaczyła dało jej do myślenia. Zacisnęła powieki i zaczęła liczyć do dziesięciu. Po siedmiu nie wytrzymała i spojrzała znowu. Obraz nie znikał. W jej przytulnej sypialence siedzieli sobie w najlepsze ciotka Stefa, pan Michał, Kostek, Kubuś i jakiś nieznany jej, na wpół goły mężczyzna. Stali w pewnej odległości od łóżka, porozumiewali się szeptem, od czasu do czasu dodając sobie wyrazu szeroką gestykulacją. W nogach łóżka, w którym leżała niczym królowna Śnieżka, spały szczeniaki.

– Hmm, hmm – Marysia postanowiła zawiadomić o swojej obecności zebranych.

– O, syjena się obudziła – stwierdził pogodnie Kubuś i wpakował się na pościel.

– No nareszcie, rybeńko złota, co my tu przeżyliśmy! – ciotka Stefa wydała z siebie jęk rozpaczy i nadziei równocześnie.

– Witam panienkę, jak się czujemy? – zapytał półnagi.

– Dobrze, ale co się właściwie stało? Dlaczego tu jest tyle osób?

– Zemdląłeś, nie pamiętasz? – powiedział Kostek.

–Więc to jednak nie był sen? Myślałam, że to wszystko fikcja, obudzę się i będzie normalnie.

– Całe szczęście, że był z tobą Kostek, bo aż boję się pomyśleć, co by było gdyby... Przytomny chłopak z niego, jak zemdląłeś, zadzwonił od razu z komórki do pana doktora, który tu spędza wakacje. Pan Jerzy przybiegł błyskawicznie porzucając gazetę i hamak. – Ciocia Stefa spojrzała z wdzięcznością na lekarza. – Pan doktor zrobił ci zastrzyk przeciwwczuleniowy, a Kostek w tym czasie

dzwonił już z twojej komórki do nas. Nawet nie dał nam się porządnie zdenerwować, tylko od razu zażądał samochodu, poduszki i chłodnych napojów.

– Moja córka jest uczulona na użądlenia owadów, zawsze mam ze sobą lekarstwa i zastrzyki – wytłumaczył doktor Jerzy.

– Ale ja nigdy nie byłam na nic uczulona – powiedziała słabo Marysia.

– Podejrzewam, że to jednorazowa reakcja organizmu: duży stres, upał, osłabienie fizyczne spowodowane sprintem – Kostek nam wszystko opowiedział, normalny człowiek może zemdleć w takiej sytuacji, a co dopiero dziewczynka z takim arbuzem na szyi. Całe szczęście, że nie jesteś alergikiem, bo nie wiem, czy dałbym sobie wtedy radę. W końcu jestem stomatologiem.

Na drugi raz mogę interweniować, ale w okolicy zębów, dobrze? – zaśmiał się dentysta zadowolony z żartu.

– Kubuś będzie jobić okłady. Syjena, pokaz syje – zażądał mały.

– Okłady lepiej robić do wieczora, opuchlizna szybciej zejdzie – poradził półnagi, pakując swoją walizeczkę. – To ja już dziękuję państwu za miłe chwile, muszę przyznać, że już się trochę nudziłem na tych wakacjach. Człowiek nie może za długo odpoczywać, bo rdzewieje. No to cześć, młodzieży. Nie mdlejcie więcej, nie gubcie dzieciaków i psów. Mam nadzieję, że już wam się nie przydam – powiedział pan Jerzy na pożegnanie, odprowadzany do drzwi przez bijących pokłony gospodarzy.

– Kubuś, dlaczego ty się zgubiłeś? Dlaczego odszedłeś od nas? – spytała Marysia po wyjściu lekarza, ciotki i jej amanta.

– Kubuś chciał pieski, a Kostek gadał z syjeną i gadał – wyjaśnił malec.

– Całe szczęście, poszedł drogą do domu, dlatego tak łatwo go znaleźliśmy. Nie wiem, czy to on znalazł psy, czy raczej psy znalazły jego. Nawet nie zdążyłem się uspokoić i nacieszyć tym sukcesem, jak zobaczyłem, że padasz na ziemię.

– Kubuś zmieni okład. Syjena, dasz mi pieska? – zapytał niespodziewanie mały.

– Kubuś, kochanie, dam ci nawet trzy pieski, tylko czy twoi rodzice się zgodzą – zmartwiła się Marysia.

– Tsy nie, jednego, tego, o tego Pasteta – powiedział i wskazał na suczkę.

– To jest dziewczynka – wyjaśniła.

– Lubiem dziewczynki – powiedział maluch.

– Kubuś, zrobimy tak, zapytamy najpierw rodziców, czy możemy wziąć pieska i jak się zgodzą, to po niego wrócimy – zaproponował brat.

– Zgodzom się, jak zobaczą Pasteta. Kubuś idzie z Pastetem.

– Kuba, ale to nie jest Pasztet, to jest inny piesek.

– Noooo..., to jest... Pusia.

– No dobra, to Kostek idzie z Kubusiem i Pusią i ma nadzieję, że ich rodzice nie wyrzucą – oświadczył zrezygnowany starszy brat. – Marysia, odpoczywaj, jutro, mam nadzieję, będziesz już w formie. Dam ci znać, co ze szczeniakiem, może rzeczywiście rodzice się zgodzą? – Popatrzył na szyję Marysi.

– Ale mi stracha napędziłaś. Rany, jeden dzień z tobą to jak wieczność z inną – powiedział filozoficznie, mrugnął okiem i wyszedł. A razem z nim Kubuś i świeżo ochrzczona Pusia.

Marysia została sama. Z dołu dochodziły odgłosy przygotowywanej kolacji. Ale się porobiło – pomyślała. Zemdlą pierwszy raz w życiu i to w obecności chłopaka. Leżała tam trupem, jak królewna Śnieżka, a on niczym książkę dwoił się i troił, by ją obudzić ze snu wiecznego. Dotknęła ręką szyi, arbus pod wpływem okładów zamienił się w śliwkę. Szyja bolała ją jednak bardzo. Spróbowała pokręcić głową. Uhhh... nic z tego, chyba będzie obracać się jak robot, w grę wchodzi tylko skręty tułowiem. Rodzicom nie będzie pisała o dzisiejszych przygodach, za bardzo by się przejęli. Niech pracują w spokoju.

W końcu nic takiego się nie stało – to tylko uządlenie osy i tylko zaginięcie dziecka i... psów, kajdanki to już przyszcz. A przecież oni nic o psach nie wiedzą, i o Kostku nic nie wiedzą, ani tym bardziej o Kubusiu. „Niech żyją w nieświadomości, napiszę, że świetnie tu wypoczywamy, pogoda jest cudowna, a ciotka zakochana. To mogę napisać.” Tak postanowiła i natychmiast zasnęła.

Rozdział 11

Przez następne dwa dni życie na wsi toczyło się niczym niezmaconym rytmem. Marysia doszła już do siebie, po ukąszeniu został zaledwie maleńki ślad. Otoczona troskliwymi osobami, dopieszczana i dokarmiana ponad miarę szybko nabierała sił. Misiaczek nie ustawał w wysiłkach, by przypodobać się Stefie, a i ciotka nie zostawała mu dłużna. Miłość kwitła, ciotka wyglądała bardzo rasowo – schudła, opaliła się i nawet ku początkowemu przerażeniu Marysi... pokazała swe wdzięki w stroju kąpielowym. Nie miała może figury modelki, a na pewno jej wagi, ale według Misiaczka wyglądała jak dorodne ciastko z kremem. Chyba było w tym trochę prawdy, bo Gruby Ziutek na widok ciotki paradującej w bikini dostał ślinotoku. Za to szczeniaki zachowywały się nadzwyczaj poprawnie. Franka pilnowała ich na każdym kroku. Wystarczyło, że któryś się nieco oddalił, a już dostawał łapą w ucho i pokornie wracał na miejsce. Uspokoił się nawet Pasztet, choć Kostek twierdził, że to niemożliwe, bo przecież ten pies ma n o r m a l n i e ADHD. Wyciągnęła laptopa i rozpoczęła dzień od odebrania elektronicznej poczty.

Kochana córeczko,
Jak się czujesz, czy wszystko u Ciebie w porządku? Miałam dziś jakieś koszmarnie sny (chyba nie prorocze?), że zostałam porwana dla okupu. A my z tatą oczywiście żadnej forsy nie mieliśmy. Więc tata z nożem, w piżamie (nie wiem, dlaczego w piżamie, ale sny nie są racjonalne) polecał negocjować. Ostatecznie daliśmy za Ciebie bizona (obserwujemy tu takiego jednego, leń trochę i zarozumialec), za co prof. Smith podała nas do sądu. Rozumiesz więc, że musiałam od razu napisać. Daj znak życia, bo denerwuję się ogromnie. Tata chce już wracać do domu, wyobraź sobie, jedzenie mu tu nie

smakuje (nie mów tego ciotce, bo ukrywa to nawet przed samym sobą). Jedynie ten tępy bizon trzyma go na wodzy.

Napisz szybko

Mama

P.S.

Córciu,

Mama najadła się szaleju i banialuki wypisuje. Jedzenie pyszne, tylko trochę monotonne, bizon nie jest tępy, ale dumny. Mnie się nic nie śni..., aha, raz pierogi, ale to się nie liczy.

Prof. Smith jest bardzo miła i na pewno nie podała by nas do sądu. Podobno ciotka ma faceta? No, no, czas najwyższy...

Pa

Tata małolata

P.S.2

Prof. Smith jest długa jak żyrafa i ma końskie zęby, ale tata upiera się, że przystojna z niej facetka!!! Podobno intelekt ma nadzwyczajny. Jakoś tego nie czuję, może za słabo znam angielski?

Pa

Mama

Cześć, kochani,

Spieszę was uspokoić, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Siedzimy sobie w domku letniskowym Misiaczka i jest bosko. Jem dużo, nie czytam po nocach przy latarce (tu delikatnie minęła się z prawdą), dbam o higienę ciała i ducha. Gruby Ziutek zadowolony jak nigdy, rozrywek pod dostatkiem. Jako miastowy wzięcie ma duże.

Misiu vel pan Michał, bardzo fajny, dzięki niemu ciotka odmłodziła o jakieś 20 lat i wyszczuplała o 4 kilogramy. Całe szczęście, że dieta dotyczy tylko Stefy – Misiu lubi dobrze zjeść, a i mnie apetyt dopisuje (staram się tracić kalorie w jeziorze).

Całuję Was mocno

PozDro J

Marysia

P.S. Ile ta cała prof. Smith ma lat?

Zakończyła swój tryskający optymizmem list i postanowiła zadzwonić do Kostka. Oczywiście, nie tak bez przyczyny, musi się przecież dowiedzieć, co z Pusią. W końcu jest odpowiedzialna za tę małą istotę. Gruby Ziutek miauknął, potwierdzając jej myśli. On też czuł się związany ze szczeniakami, jednak powoli zaczęło dopadać go pewne zmęczenie zabawami, porannymi gonitwami i wyjadaniem ryby z jego miski. Tym bardziej, że miał inne rozrywki. Gonienie myszy w stosie drewna, wylegiwanie się na rozgrzanym tarasie i krótkie wizyty u miejscowych kotek absorbowały go całkowicie. Szczególnie Mela, kotka pani Zosi Krapkowej, podobała mu się najbardziej. Chadzał do niej codziennie, mruczał słodko do uszka, wylizywał futerko i nawet... przynosił zdechłe myszy. Po tak intensywnie spędzonym dniu wieczorne zabawy szczeniaków męczyły Ziutka okropnie.

Głośne pukanie do drzwi oderwało Marysię od telefonu. Usłyszała z dołu głos ciotki.

– Jest, oczywiście, że jest, wchodźcie.

Stawili się w komplecie: Ada, Kika, Jasiek, i Kostek. Zbili się w progu w beładną grupkę, oczekując najwyraźniej widoku chorego na łożu śmierci, a nie żywej i całkiem rumianej Marysi.

– Eee, to ty już całkiem zdrowa jesteś – powiedział z żalem Jasiu.

– No właściwie tak, a co, przyszłście mnie pochować?

– No, niekoniecznie, przynieśliśmy pyszne ciastka – powiedziała Ada i wręczyła jej talerz.

– Wiecie co, chodźmy do ogrodu, trochę tu mało miejsca na przyjmowanie gości – proponowała Marysia.

Ciotka Stefa przyniosła dzbanek pełen kompotu i talerzyki. Postawiła wszystko na drewnianym stole pod jabłonią, życzyła smacznego i zostawiła ich samych.

– Co z Pusią? – zapytała Marysia

– Rodzice zastanawiają się, ale chyba ten pędrak miał rację, bo każda godzina obecności psa w domu powoduje, że mięką. Kuba śpi z Pusią w jednym łóżku, opiekuje się nią, daje jeść. Rodzice twierdzą, że taki pies to nawet jest wychowawczy. A i oni mają więcej świętego spokoju, Kubuś jest zbyt zajęty tresowaniem szczeniaka, by zawracać im głowę. Myślę, że jutro Pusia będzie już

nasza. Nie chciałbym być na miejscu rodziców, gdyby podjęli jednak inną decyzję. Kubuś potrafi zaleźć za skórę – powiedział Kostek, przewracając oczami, jakby coś na ten temat wiedział.

– Pyszne ciacha... !!! – zdążyła tylko powiedzieć Kika, gdy na kolana wskoczył jej Pasztet i radośnie ugryzł kawałek.

– Franczeska, miałaś pilnować dzieciaków! – Marysia strofowała leżącą sukę.

Franka spojrzała smutnie na swoją panią, jakby chciała powiedzieć, że to konsekwencja braku ojcowskiej opieki. Porzucona przez Ziutka dla kotki Meli popadła w lekką depresję, co od razu zaczęły wykorzystywać niesforne dzieci.

– A jak Franka znosi brak jednej latorośli? – zapytał, dłubiąc w aparacie ortodontycznym Jasiu.

– O dziwo bardzo spokojnie, chyba głównie zajmuje ją niewierność małżeńska Ziutka, trochę się biedaczyna podłamała.

– Aha – rozgadała się Ada – o wilku mowa.

Na płocie pojawił się Gruby Ziutek i to nie sam, w pysku miał żywą (jeszcze) mysz, a u boku seksowną kotkę Melę. Zazdrosna o partnera Franczeska warknęła ostrzegawczo. Seksbomba lekko się najeżyła, ale trwała dzielnie na posterunku. Ziutek porzucił mysz i przeciągłym miauczeniem starał się załagodzić narastający konflikt.

Franka miała jednak skołatane nerwy i po prostu nie zniosła bezczelności Meli. Podniosła się szybko, z jazgotem rzuciła na płot, a za nią naśladując matkę, do ataku rzuciło się psie wojsko. Marysia z przyjaciółmi poderwawszy się z miejsc próbowali zapanować nad sytuacją, ale nic z tego... Hałas, jaki zapanował, postawiłby na nogi nieboszczyka, ale i przez niego przebił się głos ciotki Stefy:

– Aaaaaaaa!!!!!!! Myyyyyyyysz... – wybiegła z domu, podskakując śmiesznie, jakby mysz gryzła ją w pięty. – Misiuuuu!!!

Zdziwiona nagłym zwrotem akcji Franka zagapiła się na podrygującą ciotkę Stefę. Mela, wykorzystawszy sytuację, zeskoczyła z płotka i zwiła z podwiniętym ogonem. Po krótkim zamieszaniu sytuacja wróciła do normy, Franka oklapła, małe posnęły, a zmęczona bieganiną mysz wybrała wolność. Gruby Ziutek, wykorzystując sytuację, pożarł ciastka przyniesione przez Adę. Marysia wraz z

przyjaciółmi postanowili natychmiast zmienić otoczenie i powylegiwać się na plaży.

Rozdział 12

Chłopacy od razu pobiegli do wody, Ada i Kika, pokazawszy światu czekoladową skórę, z gracją podążyły na brzeg. Marysia postanowiła spiec się na mahoń. Było to oczywiście bardzo niezdrowe i wbrew „światowym trendom”, ale... Kika i Ada były tak pięknie opalone! Za plecami z rykiem przejechał jakiś jeep. Dziewczynka położyła się na plecach i popatrzyła w niebo. Nieliczne chmurki wędrowały jedna za drugą. Gdzieś wysoko leciał samolot, pozostawiając po sobie białą smugę. Było gorąco i duszno. Przymknęła oczy i dopiero wtedy poczuła, jak strasznie tęskni za rodzicami.

– Jak nie mdleje, to śpi – powiedziała głośno Kika tuż nad uchem Marysi.

– Spieczesz się na raka i trzeba ci będzie okłady z maślanek robić, królewno – dodał Kostek, przykrywając ją swoim ręcznikiem.

– Spałam tylko minutkę.

– Minutkę? Chyba czterdzieści minetek. Zdążyłaś się już nieźle podpiec.

– Posmarowałaś się chociaż jakimś kremem z filtrami? – zapytał.

Marysia zrobiła minę niewiniątka. – Oczywiście, że nie. Jak Kubuś, no jak Kubuś. Już wiem, dlaczego on cię tak uwielbia, jesteście po prostu tacy sami.

Towarzystwo rozłożyło się na piasku, odpoczywając po wodnych wygłupach. Marysia poczuła, że chyba trochę z tym opalaniem przesadziła. Założyła koszulkę. Upał był taki, że nikomu nie chciało się odzywać. Jeep znowu przejechał niemal tratując plażowiczów.

– Co on tak jeździ w kółko? Zwariował?! – zirytował się Kostek.

– Ma dobry wóz, to szpanuje. Też bym chciał, żeby moi rodzice taki kupili, z tej wysokości jest zupełnie inna perspektywa – w głosie Jasia słychać było tęsknotę.

– Jasieńku, z perspektywy plaży prezentujesz się ludzko, z perspektywy jeepa prezentowałbyś się jak kark – Kostek najwyraźniej miał inne poglądy na temat samochodów terenowych.

- O rany, nie musisz być taki zasadniczy, pomarzyć nie wolno? Kark, sam jesteś golonka! – odciął się naburmuszony Jasiek.
 - Ty to lepiej pomarz o ludzkości, ludzkość potrzebuje twojej wrażliwości i mądrości, a nie kolejnego osiłka w jeepie.
 - Dydaktyzm i moralizatorstwo – skomentowała wywody Marysia. – Nuda.
 - A nie mógłby być wrażliwym, mądrym i mieć jeepa? – Kika przeciągnęła się leniwie.
 - Rany, co z was za ludzie – westchnął Kostek
 - Normalni, zwykli śmiertelnicy, a nie staroświeccy idealisci, bez samochodu i dachu nad głową – Jasiu przypatrywał się, jak jeep nawraca. – Fajny, tylko kolor mógłby mieć inny, granatowy szybko się brudzi.
 - On chyba znowu będzie tu jechał, zamorduję faceta. Nie może znaleźć sobie lepszego miejsca do popisów? – Kostek najwyraźniej tracił nerwy.
 - Pewnie może, tylko gdzie znajdzie taką publikę? – Marysia pokazała na plażowiczów.
- Tymczasem jeep z rykiem przejechał przez plażę, obsypując piaskiem wszystko w pobliżu czterech metrów. Zatrąbił dwa razy i efektownie nawrócił, szykując się do kolejnego wirażu.
- Ruszył, obsypując piaskiem ludzi i rozpędzony wpadł prosto do budowanej, z wielkim poświęceniem przez dwa poprzednie dni dziury. Dziura była głęboka i szeroka. Dzieci, kopiąc ją, dały z siebie wszystko. Półtorametrowa czarna otchłań służyła im do chowania się przed wrogiem, wrzucania więźnia do lochu i ukrywania czekoladowych skarbów. Nigdy by nie przypuszczały, że posłuży również do uwięzienia ryczącego, mechanicznego potwora.
- Zaklinowany jeep, z napędem na cztery koła nie dawał za wygraną. Silnik, rozgrzany do czerwoności, ryczał przeraźliwie. Uwięzione przednie koło obracało się jednak w próżni, z każdym obrotem pokazując kierowcy beznadzieję sytuacji. Z szoferki dobiegały przekleństwa.
- Ale kultura, pogratulować – szepnął do siebie Kostek.
 - No tak, jeep to jeszcze nie wszystko – Jasiu po namyśle przyznał rację przyjacielowi.

– Ciekawe, co teraz robią? Na moje oko, ten samochód trzeba po prostu podnieść – Kostek miał już opracowany plan. Tymczasem z auta wysiadło dwóch łysych dresiarzy. Stanęli przy przednim kole, zapalili papierosy i ze spokojem analizowali sytuację. Wokół jeepa powoli zaczęła zbierać się grupka doradców, pocieszycieli i sceptyków.

– Trzeba pchać – stwierdził starszy pan.

– Lepiej chyba na hol wziąć i dodatkowo popychać; inaczej nie wyjdzie, słowo daję – zaproponował chudzina w metalowych okularach.

– Dźwigiem go, dźwigiem – zaśmiał się starszy pan.

– Panie, jakby do wyciągnięcia jeepa potrzebny był dźwig, to do kitu taki samochód, przereklamowany i tyle, słowo daję – chudy okularnik zakaszał nerwowo.

Przez tłum gapiów przedarł się Kubaś z lekko zezującą, na oko pięcioletnią, dziewczynką. Dzieciaki popatrzyły na zniszczenia, chwilę naradzały się szeptem i zaczęły lamentować:

– Dziuja!!! Nasa dziuja!!! – wydarł się pierwszy Kuba.

– Dlaczego oni zniszczyli naszą dziurę?! – pytanie zostało skierowane do chudego okularnika. – Dlaczego oni tu jeżdżą!!! Dwa dni ją kopaliśmy, Indiana tam skryliśmy – płakała mała.

– I lizaki – przypomniał sobie chłopiec, rzucając się spazmatycznie na piasek.

– To jest plaża, nie autostrada! – dziewczynka skierowała oskarżycielski palec wprost na łysego. – Oddawaj lizaki i Indiana! – zażądała.

Wszystkim zrobiło się łyso.

– Tak, dzieciak ma rację – powiedział w przestrzeń Kostek. Dresiarz zmierzył go wzrokiem zawodowego mordercy.

– Słowo daję – dopełnił chudy okularnik.

Kierowca i pasażer jeepa nie odezwali się ani słowem. Zgasili papierosy, pety wdeptali w piasek, zamknęli samochód i najspokojniej w świecie sobie poszli.

Na plaży, niczym rzeźba, zostało uwiecznione śliczne, granatowe, terenowe autko.

Rozdział 13

Przez dwa następne dni chłopcy ciągle wracali do tematu jeepa. Co prawda, dawno już zniknął z plaży wyciągnięty przez czterech roślących mężczyzn w wieku poborowym, ale ciągle jeszcze gdzieś w okolicy słychać było warczenie silnika i pisk opon. Dziewczyny miały serdecznie dosyć dyskusji na tematy motoryzacyjne. Gdy tylko chłopcy zaczynali rozmowę o jeepie, demonstracyjnie odchodziły na bok. Kuba wraz ze swoją starszą koleżanką cierpliwie kopali nowy dół, który w założeniu miał być schronem dla Pusi. Pies jednak panicznie bał się ciemnych lochów, sikał ze strachu i drapał pazurami ścianki tak mocno, że osypujący się piasek ostatecznie zniszczył konstrukcję.

Cała grupka przesiadywała w ogrodzie pana Michała. Tutaj najlepiej im się rozmawiało, leniuchowało i podjadało pyszności podsuwane przez ciotkę Stefę. Pyszności jednakże musiały być szczelnie owinięte folią aluminiową, bo owady błyskawicznie wyczuwały smakołyki. Dla dziewczyn te ogrodowe wizyty wiązały się z ciężką próbą charakteru, każde spotkanie to dodatkowe pół centymetra w pasie.

– Marysiu, twoja ciotka powinna dostać order za te wypieki. Pychota, no po prostu pychota – Jasiu rozplątywał się właśnie nad szóstym kawałkiem placka.

– Zostaw coś dla mnie, nie umiem jeść tak szybko – Kostek najwyraźniej był nie w humorze.

– Chciałbym, ale łakomstwo jest silniejsze ode mnie. U mnie w domu nikt już nie piecze placków, kupuje się gotowe w markecie, smakują jak przeżuta guma z dodatkiem substancji barwiących – powiedział Jasiek, konsumując kolejny kawałek.

– Skończcie już z tym żarciem, jak mamę kocham, nic tylko byście gadali o jedzeniu.

– A proszę cię bardzo, Kosteczku, chcesz rozmawiać o literaturze czy sztuce? Jeżeli o mnie chodzi, to z dwojga złego wolę literaturę, z

wyjątkiem szkolnego nudziarstwa, rzecz jasna – określił się Jasiu. Od słońca piegi na nosie zrobiły mu się ciemnobrązowe.

– Boże, co za ludzie, nic tylko by żarli i leżeli do góry brzuchem – Kostek padł na trawę.

– A masz lepszy pomysł? – zapytały równocześnie Ada i Kika. – W czasie roku szkolnego harujemy jak woły, to w wakacje przydaje się trochę luzu, szczerze mówiąc, ta bezczynność całkiem mi się podoba – zdeklarowała się Ada, popatrując zezem na swoją czekoladową nogę.

– A mnie nie. Kostek ma rację, od tego nicnierobienia będziemy mieli wrzody na żołądku – poparł przyjaciela Jasiek.

– Chyba prędzej od przejedzenia, od nicnierobienia mogą ci się zrobić jedynie zakwasy i odleżyny – Marysia lubiła być ścisła.

Na horyzoncie pojawiła się ciotka Stefa z adoratorem. Nieśli duży dzbanek i szklanki, za nimi w rzędku podążały wszystkie czworonogi. Ciotka w zwiewnej sukience a la Sophia Loren wyglądała olśniewająco. Zauważyła to nie tylko Marysia, także pan Michał, u którego zakochanie widać było w każdym czułym spojrzeniu.

– Pyszny sok z wiśni najlepszy na pragnienie, pijcie szybko, zanim dopadną was osy – powiedziała ciotka, stawiając dzbanek.

– Słyszeliście, że w ciągu jednej nocy z lasu zrobił nam się zsyp? – zagaił pan Michał.

– Jaki zsyp, gdzie? – Kostek lubił być dobrze poinformowany.

– Na takiej ładnej polance, jak się wchodzi do lasu zaraz po prawej stronie.

– Na „zakochanej polance”?! – Kika aż podniosła się z wrażenia.

– Zakochanej, hmm, nie wiedziałem, że się tak ładnie i adekwatnie, hmm, nazywa – spłonił się Misiu.

– Adekwatnie do czego? – niewinne pytanko Marysi spowodowało u pana Misiaczka wykwit czerwonych plam na szyi.

– No tak ogólnie, dobra nazwa dla dobrego miejsca – wyjaśnił zamykając temat polanki.

– Ale co z tym zsypem? – drażył Kostek.

– Dzisiaj rano pani Krapkowa jak zwykle przyniosła nam mleko – zaczął Misiu.

– I jak zwykle mnie obudziła – wtrąciła Marysia z pretensją w głosie.

- No za to akurat jesteśmy jej niewymownie wdzięczni – ciotka Stefa wbiła jej szpilę prosto w serce.
- Raz, dwa, trzy – oddycham spokojnie, liczę raz, dwa, trzy... – Jasiu postanowił przetrwać niekończące się dygresje.
- A żeby dojść do naszego domku, musi przejść przez las i polanę, hmm „zakochanych”, no i podobno na samym środku leży tam góra śmieci, leży sobie i śmierdzi. Wczoraj polanka była czyściutka, widocznie ktoś w nocy musiał to wszystko wyrzucić.
- Jakiś warchoł – skomentował Jaś.
- Dużo tego jest? – spytał Kostek.
- Chyba dużo, ale dokładnie nie wiem, na razie tylko pani Zosia oglądała to śmietnisko – pan Michał odgonił muchę – a taka ładna była ta polanka!

Rozdział 14

- Ale szambo – krótko skomentował Kostek. Całą grupką stali na skraju „zakochanej polanki”. Na samym jej środku leżała góra śmieci, część zapakowana w workach, część leżała luzem. Było tam wszystko: jakieś papiery, resztki jedzenia, trochę gruzu i potłuczonych butelek po alkoholu. Nad całością unosiły się setki owadów, brzęcząc przelatywały z jednej kupki śmieci na drugą.
- Ktoś musiał to przywieźć samochodem, nikt by tego nie taszczył pieszo – Ada spojrzała na ziemię. – O i są ślady opon.
- Co nam po takich śladach, każdy samochód ma opony i cztery koła
- wymądrzał się Kostek.
- Co ty powiesz, każdy człowiek ma dwie nogi, ale tylko niektórzy pustą mózgownicę – odcięła się Ada.
- Może by pogrzebać trochę w tych śmieciach, zawsze można coś znaleźć: list, rachunek, coś, co pozwoli nam zidentyfikować sprawcę
- zaproponował Kostek.
- Chyba zwariowałeś. Po pierwsze, nie mam zamiaru babrać się w tym paskudztwie, a po drugie, chyba za dużo naoglądałeś się magazynów kryminalnych – Kika naburmuszyła się na dobre.
- A ja bym tam pogrzebał trochę, może rzeczywiście coś znajdziemy, a jak znajdziemy, to załatwimy cwaniaka na amen – poparł Kostka Jasiek.

Odbyło się głosowanie. Za archeologią śmieciową byli chłopcy, przeciw Ada i Kika. Marysia na początku trochę się wahała, jednak wściekły smrodek plus roje much zdecydowały o poparciu dziewczyn. Chłopcy rozpoczęli poszukiwania, mozolnie przetrząsali metr po metrze dzikiego wysypiska. Rozwiązywali worki, oglądali porzrzucone papiery, szukali jakiegoś śladu – paragonu ze sklepu, koperty, czegoś, co pomogłoby im, jak nieparlamentarnie wyraził się Kostek, „dopaść cwaniaka i skopać mu tyłek”. Nic takiego jednak nie znaleźli, zamiast dowodów była tylko kupa jakiegoś złomu, porzrzucone części samochodowe, a w workach szmaty, tuby po

ropuszczalnikach oraz słoiki z resztkami mazi. Dziewczyny siedziały znudzone pod drzewem i przyglądały się, z pewnym niesmakiem, poczynaniom młodych detektywów. Franczeska, jak rasowy policyjny wilczur, cały czas pomagała chłopcom, co rusz wyciągając ze śmieci jakieś stare szmaty. Pasztet z resztą rodzeństwa spał pod drzewem.

- Długo jeszcze będziecie się tak wygłupiać, może lepiej poszlibyśmy się wykąpać – zaproponowała Kika.
- Ty się kąp, a pod nosem jakieś męty cały las ci zaśmieca – Kostek nie dawał za wygraną.
- No nie mogę, ekolog się znalazł, jeden jedyny świat będzie zbawiał i to w trzydziestostopniowy upał – Kika wstała energicznie, strząsając z siebie igliwie.
- Daj spokój, zaraz skończą, to pójdziemy na plażę – Marysia próbowała załagodzić spór.
- Zanim oni skończą, to ja dostanę wysypki z nudów, mam dość prymusów i porządnickich. Wszędzie się panoszą w szkole, na ulicach, nawet w lesie, powietrza...!!! – krzyknęła – więcej powietrza i luzu poproszę, jeśli łaska! – Chwyciła plecaczek i zamarła z nogą uniesioną nad ziemią.
- Aaaaa!!! – rozległ się wrzask i wszyscy podążyli za wzrokiem Kiki. Na skraju śmietniska leżała sobie spokojnie Franczeska i obgryzała zakrwawioną ludzką nogę.

Rozdział 15

Ciotka Stefa robiła tartę. Podrygiwała w takt włączonego na cały regulator radia, gimnastykując przy okazji okolicę bioder. „Nie opuszczaj mnieeee, nie, niee... proszę ze mną bądź, taaaak...” – wyśpiewywała na cały głos, płosząc wszystkie ogrodowe ptaki. Widać było, że energia ją rozpiera. Zgrabnie przerzucała ciasto z jednej dłoni do drugiej, robiąc przy tym miny gwiazdy estrady. Dawno nie czuła się tak wspaniale: Misiu po latach prezentował się cudownie, nie tylko fizycznie, rzecz jasna. Był szarmanckim, mądrym, wyrozumiałym mężczyzną. Był jej słoneczkiem, słonikiem i ciapciusem. To dla niego zaczęła się malować, kupiła kilka ładnych fatałaszków, obcięła modnie włosy i najważniejsze, schudła i to aż cztery kilogramy. Całą swoją miłość wkładała w opracowywanie i wymyślanie coraz wykwintniejszych potraw, niestety sama ich nie tykała. Dania, oprócz walorów smakowych i estetycznych, miały jeszcze walory kaloryczne i to wcale niemałe. Ciotka Stefa włożyła ciasto do lodówki i zabrała się za mieszanie serów. Przy tej nieco staroświeckiej czynności zastał ją Misiu. Chwilę popatrzył sobie na Stefę z progu, mruknął z zadowolenia i dopiero po chwili wszedł do kuchni.

– Stefanio – zaczął z grubej rury – musimy poważnie porozmawiać. Ciotka Stefa zamarła nad miską z serami.

– Tak, a o czym? – spytała niewinnie.

– Nie o czym, a o kim, o nas oczywiście.

– Oczywiście – przytaknęła ciotka i wytarła ręce.

– Znamy się nie od dziś, sporo już w życiu przeszliśmy, niejednego zasmakowaliśmy – tu spojrzał wymownie na sery. – Czas powziąć jakieś decyzje. Nie jesteśmy już młodzieniaszkami, nie mamy na co czekać, trzeba żyć mocno i szybko. Czy w związku z tym zechcesz za mnie wyjść?! – po tych słowach Misiaczek rymnął na kolana i wyciągnął przed siebie małe, złote pudełeczko.

Ciotka stała jak słup soli. Z wolna uświadamiała sobie, że oto pierwszy i być może ostatni raz w życiu została poproszona o rękę.

– Ale znamy się tak krótko, to znaczy znamy się długo, ale z kilkuletnią przerwą. To tak, jakbyśmy się poznawali od nowa – plątała się zaskoczona.

– Owszem, też o tym myślałem i wymyśliłem, że równie dobrze poznawać możemy się po ślubie i że w gruncie rzeczy to nie ma żadnego znaczenia, bo cię kocham i tyle!

– Misiu... – wyszeptała ciotka – tak...

Po tym wyznaniu para narzeczonych utonęła w objęciach, wyginając się niebezpiecznie nad miską z serami. Sielankę przerwało łomotanie do drzwi.

– Dzień bjj, psysłem po bjata.

Na progu stał słodko uśmiechnięty Kubuś.

– A witaj, witaj – ciotka usiłowała zapanować nad niesfornymi włosami – nie ma tu twojego brata. Wszyscy poszli oglądać wysypisko.

– To Kubuś tam pójdzie – powiedział mały i odwrócił się na pięcie.

– Poczekaj, poczekaj, a czy mama wie, gdzie jesteś?

– Nie, mama śpi na lezaku. Sam psysłem – oświadczył z dumą, wypinając cherlawą pierś.

– Wiesz co, złotko, ty lepiej nigdzie nie chodź, poczekaj tu na brata, oni na pewno zaraz przyjdą. Jeszcze znowu się gdzieś zapodziejiesz – powiedziała ciotka Stefa i posadziła małego przy stole.

Kubuś dostał kartkę papieru i długopis z poleceniem narysowania jakiegoś ładnego obrazka na ścianę. Obrazek miał mieć związek z jedzeniem, ciotka Stefa powiesi go nad stołem na pamiątkę dzisiejszej wizyty. I tak pan Michał z narzeczoną, ramię w ramię przygotowywali tartę, a grzeczne jak aniołek dziecię z zacięciem realizowało się twórczo.

– Kiedy Kostek weźmie ślub z syjeną? – zapytał nieoczekiwanie Kubuś.

Ciotka i Misiu wybuchnęli śmiechem.

– A to Kostek ma plany matrymonialne? – Misiaczkowi ser przyklejał się do palców.

– Ze co? – nie zrozumiał Kubuś.

- Kostek chce się już żenić, w tak młodym wieku? – wyjaśnił.
- No chce – przytaknął. – Kubuś też chce, ale on jest starszy.
- A skąd wiesz, że jest zakochany w Marysi? – zapytała ciotka Stefa i mrugnęła do narzeczonego.
- Ma taaakie ocy i tseba mu wszystko tsy jazy powtazać, mama mówi, że ogłuchł i ze tata tes tak miał, ale jus mu psesło. To psechodzi po ślubie, dlatego musi się ożenić, bo mu to zostanie. A mama mówi, że to nie do wytsymania.
- Twoja mama to mądra kobieta, jak nic trzeba się ożenić – tu Misiu połechtał wzrokiem Stefę.
- No – powiedział maluch – skoncyłem, mozes powiesić – Kubuś zademonstrował dzieło. Na białej kartce był narysowany trup kury. Rozcięta na pół denatka spoczywała na trawce, a pod nią znajdował się parujący talerz rosołu.
- O kurczę! – powiedział tylko pan Michał i powiesił oskubanego trupa nad stołem.

Rozdział 16

Nikt nie miał już ochoty na jakiegokolwiek poszukiwania. Znaleźisko Franczeski wstrząsnęło nimi mocno, choć na krótko. Po bliższych oględzinach okazało się bowiem, że to nie była ludzka noga, ale ochlapane czerwoną farbą szczątki jakiegoś manekina. Bez względu jednak na rodzaj kończyny i tak całość sprawiała dość ponure wrażenie. Jedynie Franczeska wydawała się całkiem zadowolona ze swego odkrycia i z przyjemnością oddawała się ogryzaniu stopy denatki.

Po mrozącym krew w żyłach epizodzie Marysia i Kostek postanowili nieco ochłonać. Sami. Pod pretekstem zakupów poszli więc na ukrytą przed ludzkimi oczami zatoczkę, tę, w której Marysia objawiła się Kubusiowi jako Syjena. Nie musieli nic mówić, po prostu dobrze im się ze sobą przebywało. Niby nic się nie działo, ale podskórnie dziewczyna czuła, że coś się zmieniło... Przysiedli na zwalonym pniu. Przez całą drogę zastanawiali się, kto mógł wyrzucić śmieci do lasu i jak ewentualnie dorwać sprawcę. Nic mądrego nie wymyślili, dowodów żadnych nie znaleźli, a manekin tylko zaciemnił obraz – przecież nikt z normalnych ludzi nie trzymał w domu manekina, a już tym bardziej stylizowanego na trupa.

– Wiesz co, zostawmy to i chodźmy się kąpać. Te poszukiwania chyba rzeczywiście nie miały sensu. Straciliśmy dwie godziny na oglądaniu śmieci, rewelacyjne zajęcie na upalny, letni dzień – Kostek błyskawicznie ściągnął z siebie portki i dał nura do wody.

– No chodź, woda jest boska!

– Idę! – krzyknęła i z uczuciem ulgi podążyła w ślady chłopca.

Woda była rzeczywiście boska. Chłopak parskał jak źrebak, nurkował, robił podwodne fikołki. Marysia statecznie pływała chcąc splukać z siebie niemiłe wrażenie po śmietniku. Słoneczko przygrzewało, a wizja manekina odpływała w dal. Błogi relaks przerwał potworny ryk silnika samochodowego. Woda potęgowała

efekt i niosła ten straszny warkot na całe jezioro. Kostek czujnie nastawił uszu.

– Chyba coś mi się kojarzy – powiedział, patrząc na dziewczynę.

– Mnie chyba też... – Marysia nie zdążyła dokończyć myśli, gdy między drzewami mignął znajomy jeep. Na pełnym gazie przejechał wąską ścieżką pośród drzew i krzewów, zasmrodził, pohałasował i tak jak nagle się pojawił, równie szybko zniknął.

– Że też im na plaży koła nie urwało!

– Przecież tu nie wolno jeździć samochodami – odkryła Amerykę Marysia.

– Królewno, takim to wszystko wolno i tak im nikt nie zwróci uwagi, bo każdy chce mieć święty spokój. No i dobytek w komplecie – dodał po chwili. Chodź, nie ma co drzeć szat, zasłużyliśmy na jakiś deser. Zapraszam do spożywcza na lody – powiedział i kurtuazyjnie podał rękę wychodzącej z kąpieli Wenus.

Po zjedzeniu nieco wodnistych lodów Kostek odprowadził Marysię do furtki ogrodowej. Już chciał się żegnać, gdy z domku wyskoczyła ciotka Stefa krzycząc, że Kubuś przyszedł tu po niego i pilnuje tarty w piekarniku.

Na wiadomość o serowej tarcie, Kostkowi zachlupotało w brzuchu, co niechybnie musiała usłyszeć ciotka. Po krótkim grzecznościowym krygowaniu się, że „dziękuję, ale nie jestem głodny i chyba muszę wracać do domu”, poległ. Kubuś siedział już przy stole i z zachwytem wpatrywał się w okienko piekarnika, gdzie dojrzewało ciasto. Drugą wpatrującą się z uwielbieniem w piekarnik postacią był Ziutek, który sprytnie wykorzystał przepychankę przy drzwiach, by wślizgnąć się do domu. Sery zrumieniły się, tworząc serową pierzynę, w całej kuchni pachniało tak intensywnie, że Kostek musiał się aż zgiąć, by nikt nie usłyszał, jak mu kiszki marsza grają. Szybko porozkładano talerze, a ciotka Stefa z pietyzmem wyciągnęła tartę, połała ją sosem czosnkowym i podzieliła na pięć dużych kawałków. Była nieziemską, wręcz idealną na letnie popołudnie. Przez dobrych kilka minut zajadano ją z nabożeństwem, pan Michał, co chwila wzdychał i patrzył z podziwem na kucharkę, która to wykwinne danie przygotowała. Kot ślinił się obficie pod stołem, od czasu do czasu łaszcząc się do czyichś nóg i żebrząc o kawałeczek.

– Mniam, mniam – wyartykułowała Marysia, podnosząc do góry wzrok.

Nagle, zakrztusiła się potężnie, oczy wyszły jej na wierzch, a twarz przybrała barwę pomidora.

– Uuuhhhhh... uh... co to jest? – wskazała na obrazek kury nad stołem. – Dlaczego to badziewie tu wisi? – zapytała i rozkaszała się na dobre.

– To jest kuja od josołu – spokojnie wyjaśnił Kubaś – Coś smacznego, coś zdjowego – zacytował popularny slogan, napychając sobie buzię kolejną porcją tarty.

– Najpierw zakrwawiona noga, teraz przepołowiona kura, coś za dużo tej makabreski – stwierdził spokojnie Kostek, przełykając wielki kawał.

– Jak ty możesz jeść w takich warunkach? – zapytała Marysia i ostentacyjnie usiadła tyłem do malowidła.

Rozdział 17

Następnego dnia nikt z całej grupki przyjaciół nawet nie wspomniał o „zakochanej polance”. Dziewczyny miały chłopcom za złe zmarnowany dzień i wstrząs wywołany nogą porzuconego manekina. Wszyscy chcieli jak najszybciej zapomnieć o niefortunnym znalezisku. Ale wskutek nowych okoliczności przedstawionych pospiesznie przez Marysię zapomnieć o całej sprawie po prostu się nie dało. O nowych faktach dziewczyna dowiedziała się od pana Michała – który dowiedział się od Krapkowej – która dowiedziała się od starej Michaliny... Babcia Michalina, jak ją tu nazywali wszyscy miejscowi, była najstarszą kobietą we wsi. Kiedyś parała się ziołolecznictwem, teraz z racji wieku nie robiła nic i bardzo ją to męczyło. Babcia Michalina cierpiała na chroniczną bezsenność. Ostatniej nocy, tłukąc się jak zwykle po domu, usłyszała, jak jakiś samochód z piskiem opon przejechał tuż pod jej oknem. Zaciekawiona, kto też tak może hałasować o drugiej w nocy, wyjrzała dyskretnie zza firanki, a ponieważ niczego nie zauważyła, bo ciemność była okrutna, postanowiła się trochę przewietrzyć. Stała chwilę przed domkiem, popatrzyła w rozgwieżdżone niebo i już, już miała wracać, gdy znowu usłyszała pisk opon nadjeżdżającego auta. Biedna staruszka ledwo zdążyła uskoczyć z drogi, samochód z prędkością światła przejechał tuż przed jej nosem, jakby go ktoś gonił. Mówiła potem, że to był taki większy wóz, ale marki nie podała.

A rano mąż pani Zosi Krapkowej zobaczył, że na „zakochanej polance” przybyło śmieci. Wniosek jest jeden – to osiłki z tego auta podrzucają do lasu paskudztwo – zakończyła swoją relację Marysia.

– Może tak, może nie – zasępił się Kostek.

– Nie ma dowodu, nie ma sprawy, o ile się nie mylę we wszystkich kryminałach policja poszukuje dowodów przynajmniej przez pięć odcinków. Sprawa wydaje się beznadziejna, aż do odcinka ostatniego, w którym to dowód zostaje znaleziony, dobro zwycięża, a

czarny charakter zostaje przykładowo ukarany. Szkoda, że tak jest tylko w filmach – Jasiek głośno wyraził swój żal.

– Jasiu, czarnowidz jesteś, trochę optymizmu proszę – Marysia pogłaskała chłopca po ręce. – W realu też tak czasami się zdarza, może niezbyt często, ale się zdarza.

– A jakiego koloru był ten samochód? – zapytała Ada.

– No właśnie z tym jest pewien problem, bo było ciemno i babcia Michalina za dobrze nie widziała. Mówiła, że jakiś ciemny: szary, granatowy lub w kolorze butelkowej zieleni. Weźcie jednak poprawkę na to, że staruszka ma ponad osiemdziesiąt lat, więc na dobrą sprawę mógł to być każdy kolor z wyjątkiem białego i żółtego.

– Uhm, różowy na przykład – zaśmiała się szyderczo Kika. – Nie rozumiem tylko, po co ta cała dyskusja, myślałam, że temat śmieci jest już zakończony, ale najwyraźniej się myliłam. Bawcie się dobrze, ja sobie idę, nie chce mi się z wami gadać.

Kika otrzepała spódnicę i po prostu sobie poszła. Tymczasem reszta zaczęła się zastanawiać, jak udowodnić osłowi, że jest osłem, czyli jak znaleźć koronny dowód winy. Jedynym dobrym pomysłem, zaproponowanym przez Jasia, były nocne dyżury na „zakochanej polance”. Ada z Marysią po słowach „nocne dyżury” spojrzały na siebie. – Nie mówisz tego poważnie – upewniła się Marysia.

– Zupełnie poważnie. Wyrzucili dwa razy, to i wyrzucą trzeci, a my ich wtedy cyk i...

– Co cyk?! Rzucisz się na nich i zakujesz w kajdanki? Tobie, Jasiu, fikcja umysł zaciemnia. Chcesz zgrywać bohatera, to sobie pograj w grę komputerową. Za wyrzucanie śmieci do lasu mogą dostać tylko mandat, a ty możesz dostać w... nie powiem, w co, bo jestem kulturalna.

Marysia aż się zapowietrzyła z tej złości, a Franczeska z politowaniem spojrzała na Jasia.

– My im wtedy cyk – zrobimy fotkę, po prostu, śliczną pamiątkę z lasu – wyjaśnił do końca chłopiec.

– To ma ręce i nogi. Jak dobrze opracować plan, podzielić się na zespoły, to jest szansa, że ich dorwiemy – zastanawiał się głośno Kostek – ojciec ma superaparatus, cyfrowkę, mógłbym pożyczyć...

- Czyżby? „Tatusiu, chciałbym pożyczyć aparat, bo idę dyżurować w nocy do lasu i być może nakryję zbirów, którzy wywalają śmieci na polankę”. Już widzę, jak twój tata daje ci z ojcowskim błogosławieństwem to cudo. „Synku tylko uważaj, żeby ci te męty zębów nie wybiły” – Marysia próbowała ze wszystkich sił ośmieszyć pomysł.
- No to go pożyczę bez wiedzy ojca, nic nie zauważy – zdecydował Kostek.
- Ukradniesz, nazywaj rzeczy po imieniu – Ada wspierała Marysię, jak mogła.
- Największą przeszkodą będzie wydostanie się w nocy z domów – Kostek parł do przodu – trzeba będzie poczekać, aż cały dom uśnie i po cichu wydostać się z niego, chyba najlepiej oknem prosto z sypialni.
- Zwariowałaś, mam sypialnię na pierwszym piętrze, chcesz żebym się zabiła?! – Marysia przestraszyła się nie na żarty.
- Zaraz, zaraz trzeba wszystko uporządkować. Przede wszystkim, kto jest za nocnymi dyżurami – ręką do góry – zarządził Jasiek. Za byli chłopcy.
- No i dobrze, kobiety niech lepiej zostaną w domu – wydał wyrok Kostek.
- O wypraszam sobie, mam co prawda swoje zdanie na ten temat, ale w domu nie zostanę, idę z wami – postanowiła Marysia. Franka spojrzała na nią jak na chorą.
- To ja też – westchnęła Ada, jakby spadł na jej ramiona jakiś ciężar. Postanowiono, że dyżury będą pełnić dwuosobowo: Ada z Jasiem a Kostek z Marysią. Czas czuwania ustalono między północą a trzecią trzydzieści, o tej, bowiem porze zaczynało świtać. Rolą każdej drużyny było zapewnienie sobie aparatu fotograficznego, kocy i termosu z gorącą herbatą. Pozostali, nieczuwający członkowie grupy poszukiwawczej, mieli mieć przy łóżku włączoną komórkę na wypadek jakiegś niespodziewanej sytuacji czy zagrożenia. Po ustaleniu wszystkich szczegółów, młodzi detektywi rozeszli się odpocząć przed pierwszą akcją.

Rozdział 18

Cześć, kochani!

U nas wszystko w porządku i po staremu, no może niezupełnie po staremu.

Ciotka Stefa wychodzi za mąż, tym mężem będzie oczywiście, jak możecie się domyślić, pan Michał. Oświadczył się ciotce, tak jak należy, z pierścionkiem i na kolanach. (tak przynajmniej twierdzi ciotka, jedyny świadek i zarazem uczestnik tego zdarzenia). Ślub planują na jesień, tak, więc mają jeszcze trochę czasu, jakby co... Poznałam tu bardzo fajne dziewczyny i chłopaków. Właściwie cały czas spędzamy razem. Mamo, robi mi się coraz więcej pryszczy, czy można na to jakoś poradzić? Wyglądam, jak chora na odrę, nikt nie może na mnie patrzeć! Co byście powiedzieli, gdyby w naszym domu przybyło parę psów? Piszę hipotetycznie. I gdyby te psy zgadzały się z Ziotkiem, i gdybym ja je wyprowadzała? Tęsknię za Wami ogromnie. Odpiszcie, co o tym myślicie, zwłaszcza w kwestii psów. Pozdrowionka
Marysia

Marysieńko kochana!

Z Twojego maila wynika, rybeńko, że zaszły u Was duże zmiany. Mam wrażenie, że rodzina powiększyła się już trochę pod naszą nieobecność. Tacie na razie nic nie wspomniałam o psach. Napisz mi całą prawdę i tylko prawdę – ile ich jest, skąd się wzięły i dlaczego w całym województwie tylko ty jedna musiałaś się nimi zaopiekować. Co do pryszczy, to niestety mogę Cię tylko pocieszyć, że mijają z wiekiem (tak jak i uroda, niestety). Czy ty poznałaś jakiegoś miłego chłopca? O ile sobie dobrze przypominam to sprawa pryszczy i ziemistej cery pojawia się zwykle z pierwszym uczuciem... Czy ten NIKT, który nie może na Ciebie patrzeć, ma jakieś imię?! Ciotka Stefa dała nieźle do wiwatu z tym ślubem, czy ona też ma problem z pryszczami? Napisz coś więcej o Misiu, jaki teraz jest, co lubi, jak

traktuje ciotkę? Czy kontrolujesz dietę Ziotka? A może on już zdechł z przeżarcia? Mam nadzieję, że Ci głupoty nie w głowie; nie znam tych Twoich nowych przyjaciół, więc trochę się obawiam. Ufam, że to rozumiesz.] Nie czytaj długo w łóżku!!! A już na pewno nie przy latarce! Jedz dużo witamin i myj zęby. Do łóżka najpóźniej o 23.00. Intuicja podpowiada mi, że nie przestrzegasz żadnych zasad, a ciotka zajęta Misiaczkiem puszcza Cię samopas! Boję się o Ciebie, Marysieńko. Nie rób głupstw.

Mama

P.S.1 Czy te psy są odrobaczone i zaszczepione?

P.S.2 Prof. Smith twierdzi, że tata ma przed sobą wielką, naukową karierę; chodzi dumny jak paw i w ogóle już się z nim nie da pracować. Obserwowany bizon zeżarł już całą trawę w okolicy i wraz ze stadem przeniósł się dalej – my dzielnie podążamy za nim. (Niedługo też będziemy trawożerni!)

Ta mama to ma jednak intuicję. Trzeba jej napisać prawdę o szczeniakach, całe szczęście, że chociaż Pusia znalazła nowy dom. Ale przypuszczenie, że pryszcze mają jakikolwiek związek z Kostkiem, jest co najmniej dziwne. Ma nie robić głupstw. Ale czy nocna eskapada z Kostkiem to jest głupstwo? Nie, to jest poważna sprawa, wymagająca zbadania, sprawdzenia i rozgryzienia. Dzisiaj przypadał nocny dyżur – jej i Kostka. Przez ostatnią noc nic się nie działo. Od Ady wie, że wytrwanie na posterunku bez zmrużenia oczu to nie lada wyczyn. Muszą kupić napoje energetyzujące, bo inaczej posną, to pewne. Ada zasnęła sobie smacznie w krzakach i opatulona kocem przespała dwie godziny. Jasiu czuwał całą noc, o trzeciej ją obudził i całkowicie wykończoną dowlókl do domu.

Marysia postanowiła sporządzić listę rzeczy niezbędnych do nocnego czuwania. Na kartce wypisała maczkiem:

- telefon komórkowy
- scyzoryk
- latarka
- koc
- herbata w termosie
- napoje energetyzujące

- cukierki z kofeiną
- batony czekoladowe
- aparat fotograficzny
- chusteczki higieniczne

Spakowała wszystko do plecaka, wsunęła go pod łóżko i spokojnie poszła umyć zęby.

Punktualnie o 21.00 powiedziała narzeczonemu dobranoc i przykładowie udała się do swojego pokoju. Dwie minuty później zadzwonił Kostek.

- Halo, co się stało? – zapytała szybko.
 - Mmmmm, yyyyyyyy – zajęczało coś w słuchawce.
 - Kostek, co jest ?
 - Musimy odwołać ssssssss... akcję – brzmiał jak potępieniec.
 - Ale dlaczego, mów szybko.
 - Eeeee, kiedy nie mogę...
 - Czemu, co jest? – Marysia zaczęła obgryzać paznokcie.
 - Boli mnie ząb yyy... zaraz zwariuję z bólu – mogę tylko leżeć w jednej pozycji.
 - Wziąłeś tabletkę?
 - Nie wiem, gdzie są, rodzice wyjechali do znajomych, uhhh... będą za godzinę.
 - Nie ruszaj się, przybywam z odsieczą – rzuciła Marysia do słuchawki i pobiegła do ciotki.
- W niecały kwadrans później ekipa złożona z Marysi, ciotki Stefy, Misiaczka, Franczeski oraz jej przychówku, stanęła przed domkiem poszkodowanego. Drzwi otworzył im słaniający się na nogach Kostek.
- No, bratku, nieźle się urządziłeś – ciotka wkroczyła do pokoju. Za nią z apteczką wielkości szafy wtoczył się Misiaczek.
 - Pokazuj, gdzie, co boli – Stefa czuła się jak ryba w wodzie.
- Kostek zajęczał powalony na fotel i z oporem otworzył usta.
- Szerzej – zakomenderowała. – Misiu, poświeć no tu z bliska.
- Misiaczek wyciągnął z apteczki wojskową latarkę i oślepił pacjenta.
- Aaaa – zajęczał niewidomy Kostek.
 - Zaraz będzie dobrze – uspokajała biedaka Marysia.

Tymczasem Franka, nie przejmując się rozgrywającym się na jej oczach dramatem, witała się czule z Pusią.

– Ale gula! Ropny ząb, jak nic. Uzbierało się tego paskudztwa i wybiło na dziąśle, gula do przecięcia, a piątka do kanałowego leczenia – wydała wyrok, dotykając deserową łyżeczką ropnego wzgórka.

– Ałaaaa!!! – Kostek wystrzelił pod sufit.

– Może trzeba dać tabletkę przeciwbólową? – Pan Michał serdecznie współczuł chłopcu. Z doświadczenia wiedział, jaki to ból.

– To nic nie da, trzeba uwolnić ropę – kategorycznie stwierdziła narzeczo-

na. – Potrzebny jest dentysta. Marysiu, ty masz numer do pana Jerzego?

– Nie, Kostek ty go masz, daj komórkę, zadzwonimy po niego.

– Nigdy w życiu – powiedział ocknąwszy się potępieniec. – Wolę umrzeć.

– No to mój drogi, niewiele ci już brakuje – ciotka Stefa, jednym machnięciem unieruchomiła pacjenta. – Misiek, bierz komórkę! – posłuszny narieczony wygrzebał telefon z kieszeni Kostka i wezwał na ratunek doktora Jerzego.

Marysia skuliła się pod wzrokiem chłopca. Biedaczyna, drżał w fotelu czekając na kata, a ona stała po stronie szarlatanów. Obudzony Kubuś przydreptał z sąsiedniego pokoju. Siedział teraz na dywanie i próbował zmusić Pusię, by pokazała mu uzębienie. Franka głośnym szczekaniem zaanonsowała stomatologa.

– A witam, witam wszystkich tu obecnych – wchodząc potknął się o obgryzającego nogę od stołka Paszteta. – Mam wrażenie, że całkiem niedawno widzieliśmy się w tym samym składzie. Tylko pacjent był innej płci i miejsce akcji inne – pan Jerzy postawił swoją torbę.

– Nie ma pan spokoju w te wakacje, same nagłe wypadki – pożałował doktora pan Michał.

Ciekawski tłumek pod przywództwem ciotki cofnął się o dwa kroki, pokazując dentyście skazańca.

– Co my tu mamy? – pan Jerzy zatarł ręce, a Kostek jeszcze głębiej wcisnął się w fotel. – Pokaż paszczę, młodzieńcze, zerknę sobie, to przypomnę co nieco, bo przez te wakacje zapomniałem, jak zęby

wyglądają – oświadczył radośnie dentysta-sadysta i fachowo pomógł Kostkowi otworzyć zaciśniętą szczękę.

Operacja przecinania ropnego gęzła trwała całe wieki. Najpierw, za pomocą linki do namiotu unieruchomiono rzucającego się pacjenta. Potem włączono relaksacyjną muzykę i przegoniono z pokoju Kubusia. Nic to jednak nie dało, małżonka za brata gotów był oddać życie. Na Misiaczkę więc spoczęło zadanie uspokojenia Kuby za pomocą dydaktycznych baśni braci Grimm. Na placu boju pozostały dwie kobiety, stomatolog z kilkuletnią praktyką i przywiązany do fotela pacjent. Finałowy jęk zgrał się idealnie z dobiegającą z radia gitarową solówką.

Rozdział 19

Cały następny dzień Kostek dochodził do siebie. W towarzystwie przyjaciół rekonwalescencja była prawdziwą przyjemnością.

Wylegiwał się spokojnie na leżaku w ogrodzie Marysi, a targana wyrzutami sumienia dziewczyna przynosiła mu ziółka i zabawiała pogawędką. Kika, Ada i Jasiu słuchali w skupieniu relacji z wieczornych wydarzeń.

– Mówię wam, ropa eksplodowała jak jakiś wulkan... – rozwodził się Kostek – a ja nic, zacisnąłem zęby i czekałem... dopiero po dziesięciu minutach wulkan ucichł, ropa wyleciała, a ja poczułem się jak nowonarodzony – heroizm pacjenta wzbudził powszechne uznanie.

– Ty to masz nerwy. Ja bym wolał skonać w mękach niż dać sobie naciąć dziąsło, i to na żywcą – Jasiu szczerze podziwiał przyjaciela.

– Hmm – Marysi coś utknęło w gardle. – Może ziółek – zaproponowała Kostkowi – Krapkowa przyniosła szalwią i coś tam jeszcze, podobno dobrze robią na... zęby – spojrzała przekornie na chłopca – i pamięć – dodała po chwili.

– Cześć wszystkim!!! – dobiegło od furtki – jak tam mój pacjent? Na dźwięk znajomego głosu pacjent momentalnie wcisnął się w leżak. Doktor Jerzy w kąpielowych slipkach i z wielkim dmuchanym hipopotamem pod pachą zmierzał prosto w jego kierunku.

– No to pokaż, bohaterze, jak to dzisiaj wygląda – pochylił się nad Kostkiem, dmuchany hipcio usiadł mu na brzuchu. – Całkiem ładnie się goi, pamiętaj tylko, że najpóźniej za tydzień musisz iść do dentysty, kanałowe leczenie to nie przelewki – hipopotam przesunął się w okolicę szyi. – Taaa, może się jeszcze trochę zebrać, ale tylko trochę – doktor wyprostował się, hipcio z nim.

Z domku wyszedł pan Michał.

– Panie doktorze zapraszamy na kawkę i coś słodkiego – zawołał od progu – Stefa zrobiła tort bezowy z malinami.

– Zapraszamy... Marysia, chodźcie wszyscy, was zresztą nie trzeba namawiać.

– No właściwie to miałem iść do dzieciaków nad jezioro – ale ten tort...! – zdecydowanym ruchem porzucił hipopotama i poszedł za panem Michałem.

Biedak, nie wiedział, co czyni. Pozostawiony na pastwę Paszteta i jego bandy ssak błyskawicznie stracił swoją pierwotną formę, zamieniając się w sflaczały, niekształtny wór.

Rozdział 20

Pierwszym wyzwaniem, na które natrafiła Marysia, było bezszelestne wymknienie się z domu. W dzień droga do drzwi wyjściowych wydawała się banalnie prosta, w nocy nie była jednak już tak łatwa. Cicho wyszła na korytarz i zaczęła schodzić po stopniach. Wcześniej jakoś nie słyszała, skrzypiącej podłogi ani drzwi, teraz każdy szmer przyprawiał ją o drżenie łydek. Objuczona plecakiem dotarła wreszcie do wyjścia, przekręciła klucz i... usłyszała radosne szczeknięcie Franczeski. Suka czekała ze swoim potomstwem przed drzwiami, nieco zaskoczona obecnością pani o tak dziwnej porze, skakała radośnie na spodnie. Szczeniaki popiskiwały cicho gotowe do zabawy, kręciły ogonami i z zapalem zaczęły rozwiązywać sznurowadła. Marysia chwilę nadśluchiwała, czy te nagłe hałasy nie obudzą domowników, i pędem puściła się do furtki. Odetchnęła dopiero, gdy wbiegła w boczną dróżkę. Odetchnęła i zmartwiała – obok niej siedziały lekko zmęczone szaleńczym biegiem psy. „No nieźle – pomyślała – wspaniała ekipa, cicha i niezawodna”.

Zrezygnowana, wspomagana przez psią bandę powlokła się do starego dębu – umówionego miejsca spotkania z Kostkiem. Chłopak już czekał. Był nieco zdenerwowany, plan ewakuacji przez okno nie wyszedł tak, jak sobie pierwotnie obmyślił. A wszystko przez Kubusia, z którym dzielił pokój w domku letniskowym. Akurat tej nocy mały musiał dostać kataru, przez co najpierw długo nie mógł zasnąć, a gdy już wreszcie usnął, to spał jak zając. Kostek trzy razy wychodził przez okno i trzy razy się cofał, bo Kubuś za każdym razem wydawał z siebie upiorne jęki, jakby chciał ostrzec brata przed ewentualnymi konsekwencjami nocnego wypadu.

- Cześć, królewno, czy masz zamiar wziąć ze sobą psy? Przecież mogą wszystko zepsuć – powiedział na powitanie Kostek.
- Co miałam zrobić? Pobiegły za mną. Jakbym je zamknęła, to narobiłyby takiego jazgotu, że pół okolicy na nogi by się zerwało.

Kostek westchnął tylko pobłażliwie i wymownie spojrzał na Franczeskę.

– Szczeniaki mogą nie wiedzieć, w co się pakują, ale ciebie psia intuicja powinna ostrzec przed niebezpieczeństwem – suka tylko mrugnęła okiem i szczeknęła.

– Jakim niebezpieczeństwem? Spędzimy przyjemną, spokojną noc na łonie natury, a świtem wrócimy cali i zdrowi do swoich łóżek – powiedziała stanowczo Marysia.

– No... może – Kostek najwyraźniej miał inny pogląd na tę sprawę. Była pełnia. Tę niemiłą okoliczność dziewczyna uświadomiła sobie, moszcząc gniazdko w krzakach koło dzikiego wysypiska. Wszystkie nieszczęścia, upiory, strzygi i zbrodnie popełniane były, gdy księżyc świecił całym swoim blaskiem. Wolała jednak nie dzielić się tymi myślami z Kostkiem, jeszcze by ją wziął za płacziwą i strachliwą dziewczynę. Siedzieli sobie wygodnie oparci o pień drzewa i otuleni kocami. Psy ulokowały się im w nogach i najspokojniej w świecie smacznie spały.

– Bardzo cię lubię, wiesz? – powiedział nagle Kostek.

– Ja też cię lubię – jakoś łatwo przyszło Marysi to wyznanie, pewnie dlatego, że było ciemno i nie widziała twarzy chłopca.

Kostek poszukał w ciemności jej ręki i chwycił mocno. I siedzieli sobie tak romantycznie, nic już nie mówiąc. Księżyc świecił, psy spały, a oni siedzieli i siedzieli i wcale nie chciało im się spać. Nocne upiory i strzygi gdzieś odpłynęły, zrobiło się nawet jakby cieplej. Po godzinie zjedli batony i napili się gorącej herbaty. I znowu siedzieli w zupełnej ciszy, słuchając tylko swoich oddechów. Marysia myślała o domu, rodzicach, ciotce Stefie i Kostku, obrazy powoli zaczęły się mieszać ze sobą, mama witała na lotnisku Kostka i pana Michała, tata przywiózł z Kanady bizona, a potem wszystko odpłynęło... i zasnęła.

Zbudziło ją lekkie poklepywanie po ramieniu i szept prosto do ucha:

– Marysiu, Marysiu, obudź się, słyszę samochód, coś jedzie, obudź się!

Lekko nieprzytomna, otworzyła oczy.

– Co, co się stało?!

– Jeszcze nic, ale zaraz tu będę, słyszysz, coś jedzie. Słyszać coraz wyraźniej – Kostek ściągnął z siebie koc i przygotował aparat. Franczeska powarkiwała cicho, szczeniaki zbiły się w rozdygotaną kupkę. Marysia szybko doszła do siebie, spojrzała na zegarek – było dokładnie dziesięć po drugiej, a więc spała dobrą godzinę! Przetarła oczy i podczołgała się do Kostka.

– Jadą na wyłączonych światłach, cwaniaki – Kostek podniósł aparat.

– To nie jeep! – Marysia omal nie wychyliła się z krzaków ze zdumienia.

Rzeczywiście na „zakochaną polankę” wjechała dostojnie zielonkawą nysa. Kierowca szybko wyłączył silnik. Przez parę minut nikt nie wychodził z samochodu, jakby obserwując teren. Po chwili drzwi otworzyły się ostrożnie i z szoferki wysiadł mężczyzna. Był bardzo wysoki i mocno zbudowany; poza tym niewiele było widać, księżyc akurat teraz postanowił schować się za chmury. Mężczyzna powiedział coś półgłosem do pasażera, który po dłuższym ociąganiu wyszedł i zaczął podnosić plandekę z tyłu samochodu. Typ numer dwa był niższy i szczuplejszy, ruszał się niemrawo, jakby z oporem. Chmury odgoniły księżyc i pokazały twarze kierowcy i pasażera. Marysia spojrzała na Kostka i wypowiedziała bezgłośnie: „Rudy”. Kostek pokiwał głową. To Rudy we własnej osobie był pasażerem nyski. Rudy, który pomógł im pierwszego dnia dostać się do domku, ten w siedmiomilowych butach. „Właściwie można się było tego spodziewać” pomyślała „I wygląd, i działalność wskazywały na oprycha”. Kierowca nyski miał okrągłą twarz i sumiaste wąsy. Marysi trudno było dojrzeć coś więcej, nie mogła się nawet zdecydować, czy jest brunetem czy ciemnym blondynem. Franczeska pomerdała ogonem i oblizała głaszczącą ją rękę. Szczeniaki uznawszy, że nic złego się nie dzieje, zasnęły smacznie, drapiąc się od czasu do czasu.. Kostek nerwowo fotografował, Marysia ze strachu wbiła mu paznokcie w ramię. Mężczyźni uspokojeni panującą wokół ciszą podeszli do tyłu samochodu i zaczęli robić to, na co czekali młodzi detektywi – wyrzucać wory. Śmieci było sporo, kierowca i Rudy pracowali w skupieniu i raz dwa uwinęli się z robotą. Po opróżnieniu nysy, kierowca splunął w krzaki i machnął ręką na kompana. Wsiadli do samochodu i nie zapalając świateł, odjechali.

Detektywi z ulgą wyczołgali się z krzaków.

– Ufff, nie powiem, kosztowało mnie to sporo nerwów – pierwszy odezwał się Kostek.

– Kurczę! Nie chcę powtarzać tego eksperymentu, jeszcze mi słabo. Myślisz, że coś by nam zrobili, jakby nas odkryli w tych krzakach? – Marysi trzęsły się jeszcze łydki.

– Chyba nie, za duże ryzyko. Co innego nielegalne wyrzucanie śmieci do lasu, a co innego mordowanie ludzi.

Franczeska spoglądała na Kostka jak na wariata. Rozbudzone szczeniaki domagały się zabawy.

– Chodźmy do domu – powiedziała słabo Marysia – dość mam wrażeń na dzisiaj.

Było już po trzeciej i zaczynało dzień, na horyzoncie pojawiły się pierwsze jasne łuny.

Kostek odprowadził Marysię pod dom.

– Powodzenia przy wkradaniu się do własnego pokoju, królewno – powiedział miękko – śpij dobrze, spotkamy się dziś w południe, musimy odespać tę eskapadę – westchnął ciężko. – Wyślę jeszcze esemesa do Jasia z informacją, żeby się nie martwili.

– Kostek? Nie mów nikomu, jak bardzo się bałam, dobrze?

– Kto się bał? Ty? Jesteś najdzielniejszą królewną na świecie.

Pamiętaj o tym. Pa, do jutra – powiedział i pocałował królewnę w policzek.

Rozdział 21

Marysia obudziła się koło południa. Słońce przygrzewało już mocno, z dołu, jak co dzień, dochodziły odgłosy krzątania. Przeciągając się, wstała z łóżka. Czuła się wyśmienicie, zupełnie jakby całą noc spędziła wygodnie na tapczanie, a nie na czatach w leśnych ostępach. Szybko założyła dzinsy i koszulkę, po czym rześka jak skowronek wparowała do kuchni. Ciotka Stefa przygotowywała obiad, cały stół był w mące, a na parapecie, pod paprotką wylegiwał się Gruby Ziutek.

– Cześć, ciociu, ładny dzień mamy – zagadnęła wesoło.

– O, Marysia, wreszcie wstałaś, już myślałam, że cały dzień prześpisz – ciotka z rozmachem postawiła czajnik na gazie – słyszałam, że nie mogłaś w nocy spać, więc cię nie budziłam, w końcu musisz odespać te nocne wycieczki – ciotka spokojnie wyrabiała ciasto.

– Jakie wycieczki? – zapytała całkowicie zaskoczona Marysia.

– Jak to jakie?! Błąkałaś się po nocy jak jakaś mara, to łazienka, to kuchnia, co się zbudziłam, to słyszałam tylko trzaskanie drzwiami. Doprawdy myślałam, że tylko staruszkowie cierpią na bezsenność... ale zakochani pewnie też – dodała po chwili z figlarnym uśmiechem.

– Myślisz o sobie? – upewniła się Marysia.

– O was, królewno, o was, a jeśli chcesz wiedzieć coś więcej na ten temat, to Kubuś ci to chętnie wyjaśni, królewno... – dodała po raz drugi ciotka i zrobiła Marysi herbatę.

No tak, właściwie mogła się domyśleć, że wszechobecny Kubuś zorientuje się szybko w życiu uczuciowym swojego brata, no i jej. Wiele razy ciągał się za nimi, niby bawił się na plaży, a jednak cały czas ich podsłuchiwał i donosił. Mały szpieg, ciekawe, dla kogo jeszcze przygotował raport i co w nim jest? Trzeba będzie go wziąć na spytki.

– A pan Michał gdzie poszedł? Chciałabym, żeby zerknął do mojej szafy, chyba drzwi się opuściły i nie mogę jej zamknąć.

– A co może robić? Biega, oczywiście, już dobrą godzinę biega, dba o kondycję. On chyba chce mi pokazać, w jak doskonałej jest formie, a mi na tej formie wcale nie zależy – poskarżyła się zakochana ciotka.

– To mu to powiedz.

– No coś ty, urażę jego dumę, podrażnię męską ambicję i co tam jeszcze... poradniki mówią, że trzeba w faceta patrzeć jak w bóstwo i robić swoje. Tylko, jak ja mam robić swoje, jak on albo biega, albo pływa, albo jeździ na rowerze?

– Ciociu, spójrz na to z innej strony, kocha cię jak wariat, zależy mu na tobie, więc robi wszystko, żeby ci się podobać, żebyś się nie rozmyśliła. Jak paw, zwykły paw. A jak już się pobierzecie, to mu przejdzie, nie będzie się czuł zagrożony i zalegnie w kapciach przed telewizorem i wtedy to dopiero będziesz miała problem!

– Taaa, pewnie masz rację – ciotka nagle pobladła. – Marysiu? A co będzie, jak on i mnie będzie zmuszał do takiej aktywności. Przecież ja się nie nadaję do biegania z wywieszonym językiem wokół jeziora – ciotka oparła się o stół.

– Ja tam jestem o ciocię dziwnie spokojna, w tym związku jest tylko jeden dowódca i nie jest to pan Michał – powiedziała, uciekając przed ścierką, Marysia.

Zebranie odbywało się na plaży. Cała piątka siedziała z dala od rozwrzeszczanej dzieciarni. Kostek sprytnie spławił Kubusia, pokazując mu zezującą koleżankę-awanturnicę. Ada i Kika siedziały oparte o siebie plecami, podgryzając chipsy.

– Pokaż te zdjęcia – ponaglał przyjaciela Jasiek.

Kostek jednak się nie spieszył, powoli wyciągnął aparat i przetarł rękawem ekranik.

– No dalej, dalej – Kika trochę żałowała, że nie brała udziału w nocnej eskapadzie.

Pierwsze zdjęcie, było czarne... drugie też, dopiero na trzecim widać było zarysy jakichś postaci. Na następnych zarysy te pojawiały się w różnej konfiguracji, jednak trzeba było dużej wyobraźni, by zobaczyć tam bohaterów opowieści Marysi i Kostka. Na ostatnim zdjęciu pojawiła się bliska i całkiem wyraźna morda zadowolonej Franczeski.

– Dowodów to z tego nie będzie – zauważył smętnie Jasiu.

– Za ciemno było i za daleko się ukryliście – Ada sięgnęła po następnego chipsa.

– Wszystko na nic – Marysia była niepocieszona.

– Zaraz, zaraz, Rudego widzieliśmy? Widzieliśmy! Wyrzucał wory? Wyrzucał! Jesteśmy świadkami? O c z y w i ś c i e. Nasze zeznania wystarczą – podsumował Kostek i schował aparat do torby. – Zamierzam iść z tym na policję – oznajmił stanowczo.

– Cicho! Krapkowa – ostrzegła Kika.

Rzeczywiście, objuczona wiklinowymi koszykami pani Zosia Krapkowa zmierzała prosto w ich kierunku. Kolorowa chusta zwisała jej z ramienia, drugi koniec ciągnął się po ziemi.

– Dzień dobry – chłopcy poderwali się na nogi.

– Dobry, dobry, a co Kostuś, ziółka na zęby pomogły ssss...? – zaświszcziała, z ulgą stawiając koszyki pełne zielska.

– Pomogły, dziękuję, już wszystko dobrze.

– Dobrze to będzie, jak ci wszystkie wypadną, tak to zawsze coś albo boli, albo się obłuzuje – uśmiechnęła się jednozębnie.

Kostek pomacał szczękę, chwilowo nic mu się nie obłuzowało. Myśl o kanałowym leczeniu odganiał od siebie jak muchę.

– Masz tu jeszcze ziółek dla cioci – Krapkowa zwróciła się do Marysi, wyciągając z koszyka jakieś zielsko – odchudzają lepiej niż te z apteki świństwa. Tylko niech nie przesadzi, raz dziennie rano trzeba pić sss – zaświszcziała na pożegnanie i wzięła koszyki. – Aha, znowu ktoś tam nawyrzucał śmieci w lesie, ssss... ludzie rozumu nie mają. Syf i malaria sss – skomentowała jeszcze na odchodnym.

Rozdział 22

Ciotka Stefa z narzeczonym zniknęła teraz całymi dniami. Pojawiali się tylko na posiłki, rozradowani, zmęczeni atrakcjami przygotowywanymi przez niezmordowanego pana Michała. Marysia podejrzewała, że Krapkowej coś się z tymi ziołami musiało pomylić, bo ciotka zamiast chudnąć w ekspresowym tempie, zaczęła zachowywać się jakby była niezupełnie przytomna. Maślanymi oczami wpatrywała się w narzeczonego, zapominała o gotującym się obiedzie, niebezpiecznie zamyślała. Nawet Gruby Ziutek był zszokowany, gdy ciotka po długich bojach, zaakceptowała jego związek z Melą. Stefa tryskała optymizmem i radością, której nie był w stanie zmącić nawet Pasztet, dewastujący i gryzący wraz z rodzeństwem wszystko, co tylko weszło mu w zęby.

Kochana córeczko,
Nasz bizon ma się dobrze. Mama mówi na niego „włochata krowa” – to chyba wyraz tęsknoty za Polską? Prof. Smith jest z naszych badań bardzo zadowolona, bizon chyba mniej, czuję że ma nas dosyć. Co tam u Ciebie? Mama mówiła, że ciotka zaszalała i chce się wydać za męża. Ten Michał musi strasznie ją kochać. Tak szybko się zdecydował!

Tęsknimy bardzo.

Pa, córeczko!

tata

P.S. Prof. Smith ma w październiku przyjechać do Polski, być może będziemy ją gościć przez kilka dni.

Marysiu,

Podejrzałam maila taty. Szybko dopiszę Ci całą resztę (faceci są tacy oszczędni w słowach!) – prof. Smith uczy się polskiego, podobno odkryła swoje polskie korzenie – jej praprababcia nazywała się Wyrobak czy Wydziobak albo jakoś tak... (dokładnie to ona nawet

tego wymówić nie umie) i pochodziła z Galicji. Najpierw wyemigrowała za chlebem do Stanów Zjednoczonych, a później z drugim mężem wylądowała w Kanadzie. Skutek jest taki, że Smith poczuła się Polką i musimy gadać w języku jej praprababci Wydziobak; my oczywiście wolelibyśmy rozmawiać cały czas w języku Szekspira, ale czego się nie robi dla krajuJ... Jesteśmy na etapie „ja być i ja chcieć” Tata każe jej powtarzać „W Szczebreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”, żeby poczuła muzykę naszego języka, ona jednak czuje tylko zawroty głowy. Prof. Smith chce w październiku przyjechać na nasz uniwersytet na sympozjum i przy okazji wygłosić parę wykładów. Nie jest to jeszcze do końca załatwione, ale podobno wszystko znajduje się na dobrej drodze, a jak ją znam, to i w szczerym polu może dać wykład.
Całuję Cię serdecznie
Pa, Pa
mama
P.S. Co z tymi psami?

Kochani rodzice,
Ja też mam już dość tej „włochatej krowy”, wolałabym żebyście tu byli razem ze mną. Muszę Wam napisać okrutną prawdę – mamy cztery psy. Jeszcze w domu przyplątała się do nas ciężarna suka, jedno szczenię udało mi się upchnąć, ale reszta została i nie mam pomysłu, co z nimi zrobić. Ziutek w stosunku do psów zachowuje się naprawdę przyzwoicie, do pewnego czasu traktował je nawet po ojcowsku (dopóki Mela go nie przekabaciła). Nie gniewacie, się правда? Jakoś sobie poradzimy. Załączam jpg-i – możecie sobie zobaczyć całą gromadkę.
Ta prof. Smith musi być nieźle zakręcona – uczyć się polskiego i to tak samemu bez szkolnego przymusu!
Kocham Was
Marysia
P.S. Jak ta Smith ma właściwie na imię?

Rozdział 23

Corpus delicti w postaci płyty CD ze zdjęciami czekał na swoją premierę. Mieli w niej uczestniczyć wszyscy, nawet Kika, która ostentacyjnie wypięła się na akcję. W imię solidarności postanowiono jednak pójść razem. Droga na komisariacie była żmudna i nie miała nic wspólnego z tym, co widzieli w sensacyjno-kryminalnych filmach. Pokonanie dyżurki było jak zdobywanie wrogich okopów. A po co? A do kogo? A nazwiska? A rodzice? Wyjaśnianie wszystkiego młodemu policjantowi zabrało im dobre pół godziny. Wreszcie skierowano ich do inspektora Kotka. Inspektor jednakże musiał pilnie wyjść. Zrezygnowani czekali na niego pod drzwiami przez następne pół godziny.

– A, witam, witam, droga młodzieży, wy do mnie? – huknął nagle z wysokości metra dziewięćdziesiąt pięć inspektor Kotek. Był uosobieniem kobiecych wyobrażeń o mężczyźnie idealnym. Wysoki, o ciemnych, nieprzeniknionych oczach i orlim nosie. Głos miał ciepły, niski i stanowczy. Dziewczyny stopniały pod wpływem jego spojrzenia jak lód na pustyni.

Weszli do małego pokoju. Oprócz starego biurka, komputera, paru krzeseł poustawianych jedno na drugim nic już się tu nie mogło zmieścić. Nie było szklanych ścian, luster weneckich, zagadkowych szaf z dokumentami, był tylko inspektor Kotek z zabójczym spojrzeniem. Usiadł za biurkiem, wziął kartkę i długopis.

– Słucham. Napad, pobicie czy kradzież?

– Śmieci – powiedział głośno Kostek.

– Co?

– No, to – Kostek położył przed orlim nosem inspektora Kotka płytę z fotkami.

– Co to jest?

– Proszę, niech pan kapitan najlepiej to otworzy, a zobaczy na własne oczy uwiecznione przez nas dowody straszliwej, makabrycznej wręcz działalności – zaświstał złowieszczo Jasiu.

Inspektor Kotek głośno przełknął ślinę. W swojej dotychczasowej karierze miał do czynienia jedynie z drobnymi przestępstwami, które z reguły, ze względu na małą szkodliwość społeczną lub niemożność wykrycia sprawców, szybko umarzał. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się mieć dowodów przestępstwa przed wykryciem przestępstwa.

Włożył płytę do komputera.

– Jasny gwint! Co za sprzęt! Znów nawalił – uderzył ręką w monitor. Komputer wydał z siebie przeciągłe dźwięki, zamrugał ekranem i wreszcie otworzył płytę.

Oczom zebranych ukazał się tata Kostka w pomarańczowych gaciach i papierowej czapeczce zrobionej z gazety codziennej. Stał na tle seledynowej ściany, dzierżąc w jednej ręce wałek, a w drugiej wiadro. Dziewczyny zachichotały nerwowo, inspektor Kotek, czując, że robią go w balona, spojrzał groźnie na zebranych.

– Nie ten plik, ten drugi. To jest mój tata – wyjaśnił pośpiesznie Kostek.

– Taaa... interesujący – powiedział przeciągle Kotek i najechał myszką na wskazany plik zdjęć.

Fotografii było dokładnie siedemdziesiąt cztery. Policjant otwierał po kolei wszystkie, na pierwszej ujrzał ciemność, na następnych zarysy jakichś typów i górę czegoś – właściwie nie wiadomo, czego. Na ostatnich sfotografowane było wysypisko w dzień.

– No i co? – odwrócił się do Jasia.

– No właśnie to są ci przestępcy, którzy nocą wyrzucają śmieci. Inspektor Kotek obluzował krawat, stróżka potu spłynęła mu po plecach.

– Słuchajcie, ja nie mam czasu zajmować się głupotami. Śmieci rzecz ważna, owszem, ekologia hmmm... – otarł czoło – jeszcze ważniejsza. Ale nie ma dowodów, nie ma śmieciarzy, nie ma sprawy.

– Ale my ich widzieliśmy! To Rudy! Jednego znamy – krzyczeli jeden przez drugiego – oni na pewno są stąd!

Inspektor zrezygnowany spojrzał przez okno, słońce świeciło mocno, normalni ludzie o tej porze siedzieli na plaży albo kąpali się w jeziorze; on musiał się użerać z nawiedzonymi ekologami. A tyle „prawdziwych” spraw czekało na rozwiązanie, tylu przestępców chodziło sobie ulicami...

– Wiecie co, mam pomysł! Coś wam pokażę – powiedział w przypiływie natchnienia i kliknął na plik z ikoną „poszukiwani”. Oczom zebranych ukazały się twarze. Większość z nich mogła się przyśnić w nocy.

– Ale zakazane gęby – mruknął Kostek.

– To są poszukiwani z naszego regionu, obejrzyjcie sobie, może to któryś z nich – powiedział zadowolony z siebie inspektor i wstał od biurka.

„No, to mam spokój, obejrzą, pójda i wreszcie napiję się kawy”.
Znowu spojrzał przez okno, mała chmurka przykryła słońce.

– To on – powiedzieli równocześnie Marysia i Kostek.

– Co? – nieuważnie zapytał inspektor Kotek, patrząc dalej na chmurkę.

– To ten – powtórzył dobitnie chłopak.

Do inspektora dotarł właśnie sens tych słów. Obrócił się jak automat i spojrzał na ekran.

– Jasny gwint!!! O jasny gwint, mamusiu kochana!! Przecież to Kapiszon!

– To pan go zna? To jest jakiś poszukiwany listem gończym, groźny przestępca? – rozemocjonował się Jasek.

– Raczej złodziej i krętacz. Ale ostatnio wpadł, jak kradł samochód. Niestety wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności i hmmm... tuszy młodszego aspiranta, uciekł. Ukrywa się już pół roku, a tu proszę, on we własnej osobie! Na śmieci się przerzucił! Trochę to dziwne, może wyrzucają coś z kradzieży? Trzeba to sprawdzić. Wyślę policjantów, niech przeszukają to dzikie wysypisko. Trzeba będzie też urządzić jakąś zasadzkę w nocy. Oni tak co noc przyjeżdżają z tymi śmieciami?

– Nie, na razie byli trzy razy. Pierwszej nocy przywieźli najwięcej – wyjaśnił szybko Jasiu.

– Zrobimy tak, spisujemy teraz wasze zeznania, załączymy do nich płytke i pójdziecie grzecznie do domu.

– A wizja lokalna? – upomniała się

Ada – Musimy przecież pokazać, gdzie jest to wysypisko, z jakiej odległości robiliśmy zdjęcia, gdzie stał samochód...

– To już zostawcie nam. Na miejsce pojedzie młodszy aspirant Koźlak i zrobi to, co trzeba. Bystry jest, trochę hm... łakomy, ale bystry, znajdzie wysypisko bez trudu, zrobi rozpoznanie i przygotuje zasadzkę. Bardzo wam dziękuję za zaangażowanie, naprawdę bardzo nam pomogliście – inspektor Kotek wstał, stuknął obcasami i każdemu z osobna uściśnął dłoń.

Z komisariatu wyszli przygnębieni. Z jednej strony cieszyli się bardzo, że pomogli policji odszukać ukrywającego się oprycha, z drugiej jednak czuli spory niedosyt. Serce rwało im się do walki, do odkrywania kolejnych zagadek. Zasmakowawszy raz zakazanego owocu, chcieli go spróbować znowu i to mimo wyraźnej odmowy inspektora Kotka, który wręcz zabronił im mieszania się w sprawę. Smętni wlekli się do domów.

– Myślicie, że ich złapią? – spytała Ada.

– Wątpię, nie wiem, jaki jest ten Koźlak, ale zdaje się, że już raz wypuścił złodzieja Kapiszona. Nie świadczy to o nim najlepiej – Jasiu westchnął smutnie – Nie podoba mi się.

– Mnie też, ale chyba nie mamy wyjścia, nie możemy się tam kręcić. Sami też nie złapiemy dwóch dorosłych facetów – Kostek zrobił smętną minę.

– Też mi jest trochę żal porzucanej sprawy, ale nie chciałbym mieć z nimi do czynienia. Przecież to są zbiry. To nie są zwykłe, nieświadome zagrożenia ekologiczne półgłówki, tylko złodzieje, a może nawet i więcej... – Ada zawiesiła głos, zimny prąd przeszedł jej po plecach.

– Może po prostu zapomnijmy o tym wszystkim i zachowujmy się, jak gdyby nigdy nic. Będziemy chodzić na plażę, kąpać się, leżeć w sadzie pod wiśniami, a policja będzie robić swoje i już. I nic a nic nie będzie nas to obchodzić. Skończona sprawa, raz na zawsze! – Marysia była nad podziw stanowcza, mama na pewno byłaby z niej dumna.

– Raz na zawsze – powtórzyła jak echo Kika i spojrzała wyzywająco na chłopaków.

Rozdział 24

Ciotka Stefa na dobre rozgościła się w kuchni. W asyście dwóch pomagierów – Michała i Kubusia robiła zaprawy z wiśni i porzeczek. W całym domku słodko pachniało, przywabiony tym aromatem kot zajął swoje ulubione miejsce na parapecie okiennym. Misiu mieszał z gracją w wielkim garnku, od czasu do czasu próbując, czy konfitura jest już może dobra. Kuba, znany miłośnik wiśni w każdej postaci, zadomowił się u ciotki na stałe. Siedział przy stole i z zapalem drylował owoce, przy czym robił to naprzemiennie – z jednej wydłubywał pestkę, drugą wkładał do buzi. Praca szła niezbyt szybko, ale też nigdzie się nikomu nie spieszyło, rytuał wymagał spokoju i skupienia. Dwa wiadra pełne wiśni i miska porzeczek, czekały na swoją kolej. Cała trójka miała ręce, zęby i usta krwistoczerwone.

Tak zastała ich Marysia, która jak zwykle wstała ostatnia.

– Cześć. O rany, ale czerwono!

– Dzień dobry, czy może przyszedł nam pomóc? – chciał wykorzystać sytuację pan Michał.

– Czemu nie, tylko najpierw chętnie bym coś zjadła. Jakieś śniadanko? – spojrzała na ciotkę.

– Na śniadanie są wiśnie, na obiad i kolację też, na podwieczorek porzeczeki, a jak nam nie pomożesz, to do końca miesiąca będziesz to jadła.

– Kubuś może jeść wiśnie do końca świata – wtrącił swoje trzy grosze mały.

– Trochę mnie ta wizja przeraża, posuń się, pomogę ci. A gdzie drylownica? – spytała Marysia.

– Nie ma. Nasza jest, ale w domu. Nikt z sąsiadów nie ma tu takich przyrządów, nikt z sąsiadów nie robi konfitur, wyobrażasz sobie? – ciotka Stefa układała na blacie słoiki – Mam zamiar porobić jeszcze kompoty.

– Lubię, lubię – Misiu oblizał smakowicie łyżkę. – Domowej roboty kompot jest najlepszy i najzdrowszy, żaden kupny sok go nie zastąpi.
– Nie liź tak tej łyżki, bo mi zarazki tam najdą! Mieszaj, żeby nie przywarło i powstrzymaj żądze – rozkazała główna kucharka kuchcikowi.

Marysia wzięła się do pracy. Wydłubywanie pestek za pomocą agrałki nie szło jej zbyt dobrze. W ciągu paru minut koszulka została zabryzgana sokiem, a palce nieprzyjemnie się pomarszczyły. Ciotka tymczasem przygotowała jej naprędce chleb z serem i herbatę. W sama porę, Marysię zaczynało już mdlić.

– Wyglądamy jak z horroru – powiedziała, zając kromkę – wszędzie krew, a nad stołem zarżnięty kurczak – popatrzyła na rysunek Kubusia – słuchaj, może byś narysował coś innego, bardziej optymistycznego, zamienilibyśmy rysunki, trochę mi ten rosół już obrzydł – kusiła Marysia.

– Dobja, a co?

– Nie wiem co, byle bez przemocy. Jakiś chlebek, maselko w koszyczku, jak na święconkę. Może martwą naturę, co?

– Kubuś umie jysować piękną natuję... majtą. A ciocia powiesi nad stołem?

– Powieszę, mały, powieszę. Faktycznie ten kurczak może zniechęcić do obiadu. Marysiu, czy ty albo twoi znajomi macie coś wspólnego z niejakim Koźlakiem? – zapytała znienacka ciocia. Marysia zmartwiała.

– Nie... nic nie wiem, a coś się stało? – pochyliła się mocno nad talerzem.

– Przed godziną przyjechał policjant i pytał o to dzikie wysypisko. Myślałam, że może wiesz coś więcej na ten temat.

– Policja na nielegalnym wysypisku! Popatrz, jednak coś robią, a myślałem, że nikogo to nie zainteresuje i ta kupa będzie się tylko powiększać – pan Michał wyglądał na zaskoczonego działaniami organów ścigania.

– Aaa, to musiał ktoś ich zawiadomić. Wiesz, co ciociu, skoczę do Kostka, może jego mama ma drylownicę?

Marysia pośpiesznie wstała.

– Mama nie ma, Kubuś pytał – powiedział spokojnie maluch.

– A to sprawdzę u Ady albo Jaśka. Będzie szybciej – powiedziała Marysia i jak oparzona wyskoczyła z kuchni.

Rozdział 25

Pół godziny później grupka przyjaciół stała przy wysypisku, obserwując poczynania młodszego aspiranta Koźlaka. Chodził po śmieciach, co chwila schylając się i oglądając znalezione tam rzeczy. W przeciwieństwie do swojego przełożonego był niski i grubawy. Twarz miał okrągłą jak księżyc w pełni. Co chwila zdejmował czapkę i obcierał pot z czoła, robiąc przy tym minę zboląłego psa. Z kieszeni spodni wystawał mu kawałek papieru śniadaniowego.

– Nie wygląda na kogoś, kto umiałby złapać dziecko, a co dopiero przestępcę – stwierdził Jasio.

– Wygląd o niczym nie świadczy, może jest dobry w dedukcji. Taki niby niepozorny, lekko ciamajdowaty, a swoje robi. Nie musi od razu być Schwarzeneggerem – Kostek postanowił się nie uprzedzać.

Upssss...! Schwarzenegger potknął się właśnie na jakiejś szmacie i upadł na kolana, z kieszeni wyleciała mu, owinięta w papier śniadaniowy, kaszanka.

– Może masz rację – powiedział zde gustowany Kostek patrząc, jak młodszy aspirant Koźlak gramoli się z ziemi. Wstał, otrzepał spodnie, założył czapkę i huknął w stronę publiki.

– Ej, dzieciaki, chodźcie tu! Chodźcie, chodźcie!

Podeszli niepewnie.

– Chcecie dropsy? – spytał z nienacka i sięgnął do kieszeni bez kaszanki.

Poczęstował wszystkich mieszanką wieloowocową, wytarł czoło i zapytał:

– To wy wyśledziliście tych śmieciarzy?

– My – odpowiedzieli chórem.

– Pokażcie mi, w których krzakach siedzieliście, i w ogóle opowiedzcie jeszcze raz o całej akcji.

Tego nie trzeba było im powtarzać. Rozsiedli się wygodnie na skraju polanki. Skrupulatnie, z najdrobniejszymi szczegółami opowiedzieli

jeszcze raz całą historię, a policjant Koźlak, zając kaszanę, uważnie ich słuchał. Kiedy skończyli, zamyślił się głęboko.

– Tak, tak, a ja go miałem i mi zwał. No nic, co ma wisieć, nie utonie. Trzeba w nocy zastawić na niego pułapkę, ten jego koleś, to też nie wiadomo, co za jeden... Trzeba się na tę noc odpowiednio zaopatrzyć, kajdanki, policjanci, coś do jedzenia... – wymieniał po kolei. – Chyba dalej zajmuje się kradzieżą samochodów i ich przeróbką, pełno tu tego złomu leży. No nic, na mnie już czas – podniósł się niezgrabnie z trawy – porozglądam się jeszcze chwilę i jadę. Dzięki za informacje.

Młodszy aspirant Koźlak oddalił się na wysypisko.

– Nawet fajny. Trochę niezgrabia, ale sympatyczny i nosa nie zadziera

– Ada popatrzyła na policjanta.

– Dropsy ma – wtrącił Jasiek.

– A mnie to właśnie martwi, tacy policjanci nic nie działają. Tu trzeba być twardym, stanowczym – Kostek był urodzonym radykałem.

– Może nie zawsze, ty jednak za dużo filmów oglądasz. Życie to nie film, kochany – na Marysi aspirant Koźlak sprawił dobre wrażenie.

– E tam, nie może być policjant-baba, taki to się przy byle czym rozklei, zdenerwuje, popadnie w histerię.

– Na pewno nie Koźlak! – Ada wzięła w obronę władzę – na pewno nie on! – powtórzyła dobitnie i w tej samej chwili usłyszeli wrzask...

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa, mamó, mamó!!! – wrzeszczał aspirant – noga, ludzka noga!!!!!!! – darł się na cały las.

– A nie mówiłem – powiedział z satysfakcją Kostek i poszedł reanimować inspektora.

Rozdział 26

– No i gdzie ta drylownica? – zapytała ciotka Stefa, gdy Marysia z Kostkiem weszli do kuchni. Dziewczyna na śmierć zapomniała o tym przyrządzie i to zaraz po wyjściu z domu. Drylownica była przecież pretekstem do natychmiastowego spotkania z przyjaciółmi i wyruszenia na „zakochaną polankę”. Ani przez chwilę nie przyszło jej na myśl poszukiwanie tak banalnej rzeczy, poszukiwanie złodziei i „śmieciarzy” to co innego.

– Zapomniałam, zupełnie zapomniałam – skruszona spojrzała na ciotkę.

Ciotka pokiwała z politowaniem głową i ugryzła się w język, by nie powiedzieć czegoś w stylu „zakochani zapominają o całym świecie” albo „a głowy nie zapomniałaś?” – nie chciała robić siostrzenicy afrontu przy chłopaku.

– Poradziliśmy sobie bez ciebie i bez drylownicy, prawda Kubusiu?

– Kubuś pjacował – potwierdził mały i pokazał bratu swoje dłonie.

– A mama wie, że ty tu siedzisz cały dzień? – zatroszczył się brat.

– Mama wie, tata wie. Kubuś ma dla mamy niespodziankę – sięgnął pod stół i wytaszczył cały koszyk słoików z wiśniową konfiturą.

– Rety, ale pychota! Mogę spróbować?

– Nie – Kubuś szybko wsunął koszyk z powrotem pod stół.

– Zaraz wam dam trochę do herbaty. Ale powiedźcie mi wreszcie, co wy całe dnie robicie. Ciągłe gdzieś znikacie, macie takie tajemnicze miny, jakieś narady, wędrówki... hm?

Marysia zadrżała, od jakiegoś czasu obawiała się tego momentu.

Wiedziała, że wcześniej czy później ciotce zbierze się na spytki.

Zastanawiała się nawet, co powiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Kłamać nie chciała i nie potrafiła, a prawda mogłaby się ciotce nie spodobać. Uganianie się po nocach za potencjalnymi zbirami nie wypadało z pewnością panience. Sytuację starał się ratować Kostek.

- Obserwujemy to wysypisko, ciągle się powiększa... Prowadzimy takie małe, prywatne śledztwo, wszystko zgodnie z prawem – rozpoczął dyplomatycznie.
- Obserwujecie, to znaczy, że co? Że zamiast kąpać się w jeziorze, spacerować czy grać w siatkówkę spędzacie lato na wysypisku?
- Od pewnego czasu i z przerwami – brnął Kostek.
- Ale przecież w biały dzień nikt tam niczego nie wyrzuca? – dopytywała się ciotka, stawiając przed nimi herbatę z konfiturami. – O ile się nie mylę, to ten proceder odbywa się nocą, tylko nocą – dodała z naciskiem.

Marysia zakrztusiła się herbatą. Kubuś rzucił się ofiarnie klepać ją w plecy. Dźwięk ciocinego telefonu komórkowego uratował tymczasowo sytuację.

- Halo, tak kochanie – rzuciła słodko do słuchawki zakochana Stefa i pograżyła się w rozmowie o tym, jakie mięso kupić na jutrzejszy obiad.

Marysia z Kostkiem ustalali szeptem strategię dalszej obrony. Znużony Ziutek zlął z parapetu i rozsiadł się na kolanach swojej pani. Wreszcie ciotka skończyła rozmowę namiętym – pa, pa – i zarumieniona powiedziała:

- A czy wy widzieliście, jaki cudowny rysunek zdobi naszą kuchenną ścianę? Zgodnie Marysiu z twoją sugestią Kubuś postawił na martwą naturę...

Nowe malowidło Kubusia przedstawiało wiklinowy koszyk, w którym znajdowały się dwa muchomory, zjełczały majonez w odkręconym słoiku i resztki jajeczniczy ze szczypiorkiem.

- Smacznego – skomentował Kostek.

Kubie nie spodobała się reakcja brata, obraził się więc i pokazał język. Już, już miał wybuchnąć teatralnym płaczem, pełnym pretensji i wyrzutów, gdy ponownie zadźwięczała komórka ciotki Stefy.

- Tak, słucham – ciotka zmarszczyła czoło i przygryzła dolną wargę.
- Dobrze, przyjadę jeszcze dziś, na pewno. Do widzenia – powiedziała do słuchawki.
- Coś się stało? – Marysia od razu zauważyła jej niepokój.
- Pan Tomek zasnął w wannie, do której lała się woda. Woda się przelała, no i prawdopodobnie zalało mieszkanie. Trzeba to jeszcze

dziś sprawdzić. Ech, ta pani Ania to oprócz dzieci ma jeszcze męża-dziecko, dopiero jak przyszła z pracy, to go obudziła i zakręciła kurek. Tomek już tydzień pracuje nad prezentacją dla jakiegoś ważnego klienta i świat przestał dla niego istnieć. Od godziny zbierają wodę z całej łazienki, podobno było jej po kostki. No nic, jak przyjedzie Michał, to tam pojedziemy, wrócimy pewnie dopiero wieczorem.

Dwie godziny później ciotka Stefa z panem Michałem ratowali podtopione mieszkanie, a Marysia z Kostkiem leżeli pod drzewem i czekali na przyjaciół. Mieli odbyć naradę, tematów do omówienia zebrano się niemało, a wszystkie były pilne. Po pierwsze trzeba było ustalić wspólne zeznania w sprawie nocnych wypadów i śledzenia „śmieciarzy” (niebezpieczne pytania ciotki Stefy dały im do myślenia), a po drugie zastanowić się nad postępowaniem – czy angażować się w dalsze śledzenie ciemnych typów (młodszy aspirant Koźlak nie gwarantował sukcesu) czy, zgodnie z sugestią inspektora Kotka, odpuścić sobie całą tę sprawę.

– Cześć, leniwce pospolite – powitała ich Ada.

– Cześć, ładnie wyglądacie tak pod tym drzewkiem – dodał Jasiu, skradając się za dziewczyną.

– Gdzie Kika? – Marysia podniosła się na łokciu.

– O, biegnie, no to nareszcie możemy zacząć naradę – Kostek wstał, spojrzał na zebranych i zaczął przemówienie. – Tylko dzięki telefonowi komórkowemu udało się nam dzisiaj uniknąć horrendalnej wpadki. Ciotka Stefa wykazała się rano przebiegłością lisa i kobiecą intuicją równocześnie. Zaczęła drążyć temat wysypiska, naszych ciągłych nieobecności i policji. Ledwo uszliśmy z życiem. Tak dalej być nie może. Trzeba się zastanowić, co mamy mówić, wersja musi być taka sama dla wszystkich rodziców, bo a nuż się skontaktują, porównają i wsypa gotowa. Co do mnie, to kłamać nie zamierzam, ale całej prawdy chyba też od razu nie można powiedzieć, bo jak znam życie, skutkiem będzie domowy areszt. Może informacje trzeba dawkować? Co o tym myślicie? – Kostek zamilkł w oczekiwaniu na propozycje.

– Ja kłamać nie muszę, w przeciwieństwie do was nie uciekałam w nocy z domu i nie łąziłam po lesie – Kika poprawiła spódniczkę.

- Najlepiej nic nie robić, stać z boku i krytykować – powiedział w powietrze Jasiu.
- Najlepiej kierować się rozsądkiem, niestety niektórym go brakuje – odbiła piłeczkę dziewczyna.
- Przestańcie, ta kłótnia jest bez sensu – Kostek miał już tego dosyć.
-

Można powiedzieć, że przyglądaliśmy się wysypisku i widzieliśmy tam któregoś wieczora jakichś ludzi i gdy przyjechał Koźlak, to ich po prostu opisaliśmy i już... Proste i w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach prawdziwe.

- Wieczór to p r a w i e noc – zauważyła Ada – dla mnie może być.
 - A kiedy powiemy prawdę, że noc to noc, a nie wieczór? – spytała Marysia.
 - Jak to, kiedy? Gdy zakończymy akcję i złapiemy „śmieciarzy” lub, jak kto woli, złodziei – przemówił wreszcie po ludzku Jasiu.
 - To my jeszcze będziemy śledzić tych ludzi? – Ada wzdrygnęła się mimo woli. – Przecież będzie policja, wywalą nas i robi się gigantyczna awantura.
 - Nie wywalą, bo nie zobaczą – powiedział tajemniczo Kostek.
- Jasiu z wrażenia przestał majstrować przy aparacie ortodontycznym. Kika spojrzała na niego jak na obłąkanego i wymownie postukała się w czoło.

Rozdział 27

Ustalenia były precyzyjne. Jeszcze dzisiaj każdy musi znaleźć sobie dobry punkt obserwacyjny wokół wysypiska. Trzeba to zrobić w dzień, przygotować, zaznaczyć i zabezpieczyć miejsce nocnej kryjówki. Chowają się po dwóch, tak jak podzieleni byli wcześniej (Kika, tradycyjnie, odmówiła współpracy). Kryjówki muszą być umieszczone z dwóch stron wysypiska i bardziej od niego oddalone po to, żeby ani policja ani złodzieje się nie zorientowali, że ktoś ich obserwuje. Punktualnie o północy zakradają się na swoje posterunki i czekają na rozwój wypadków. Wszyscy mają ze sobą komórki (z wyłączonym dzwonkiem, nastawione na wibracje) i synchronizują zegarki. Ubrani są obowiązkowo na czarno, w domu zostają wszelkie zwierzaki (ta uwaga skierowana była pod adresem Marysi).

Po uzgodnieniu wszelkich szczegółów i oddaleniu się obrażonej Kiki, ruszyli szukać kryjówek. Marysia z Kostkiem musieli znaleźć miejsce do obserwacji na północ od wysypiska. Chodzili już tam od paru minut i niczego odpowiedniego nie znaleźli, było beznadziejnie płasko i pusto. Gdzieś tam widok zakłócał tylko jakiś smętny krzaczek.

Nagle zobaczyli z daleka młodszego aspiranta Koźlaka. Wyraźnie ucieszył się na ich widok, pomachał ręką, przebiegł truchtem kilka metrów i... zapadł się pod ziemię.

– Rety, zniknął! – krzyknęła Marysia.

– No nie, musi gdzieś tu być. Hop, hop, panie aspirancie! Hop, hop! Ruszyli go szukać.

– Wy mi tu nie krzyczcie nad uchem, tylko pomóżcie stąd wyjść – usłyszeli całkiem blisko i całkiem donośny głos poszukiwanego. Spojrzeli pod nogi i zobaczyli doskonale zamaskowaną wyrwę w ziemi. W wyrwie, głębokiej na dwa metry, leżał sobie spokojnie policjant Koźlak. Z kieszeni wystawała mu nieodłączna kaszanka. Kostek podał policjantowi rękę i pomógł mu się wygramolić na powierzchnię.

– Może landrynkę? – zaproponował w podzięcie zadyszany młodszy aspirant.

– A jakoś nie mamy ochoty – powiedziała za nich oboje Marysia.

– A ja sobie zjem. Lubię słodczy, pomagają mi myśleć. Co ja miałem... aha, co wy tutaj robicie? Jakoś bez przerwy was spotykam, nie mówię, że mi jest nieprzyjemnie, ale wiecie, bezpieczeństwo... – tu ściszył głos. – Kapiszon to bardzo niebezpieczny zbir – wzdrygnął się i obejrzał za siebie – już raz mi nawiał, nie chcę nawet myśleć, co się stanie, jak jeszcze raz się wymknie – tu pokazał ręką podciętą szyję. – Będzie po mnie, po karierze i tyle...

Marysia z Kostkiem mieli wymalowane na twarzy współczucie.

– A dzieci pan ma? – zaczął „rozmiękczać” wywiad Kostek.

– Mam dwoje, Jacka i Agatkę, śliczne, oo! – wyjął z munduru zdjęcie i pokazał mniej więcej dwuletnie bliźniaki.

– Ładne, tylko... hm, trochę trudne do rozróżnienia – wyraziła wątpliwość Marysia.

Koźlak spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Przecież to jest Agatka, wyraźnie widać – wskazał palcem na jedną z pociech.

– No tak, oczywiście – Kostek kopnął Marysię w kostkę. – Śliczna dziewczynka, chłopiec też niczego sobie. Podobni do pana – przesadził, od razu zobaczył, że przesadził.

– Do żony podobne, do żony!! A zresztą... co ja miałem... Aha! Uciekajcie do domu, no już, piątkowa nocna akcja to nie zabawa – ponaglił ich ruchem ręki i poszedł przeczesywać wysypisko.

Marysia i Kostek pomyśleli o tym samym – „Piątek w nocy!”

Poczekali, aż policjant oddali się, i w tym samym momencie wskoczyli do dziury. Była trochę za głęboka, ale gdyby nanieść czegoś na jej dno, to byłby doskonały punkt obserwacyjny. Z zapalem wzięli się do pracy, na dno wyrwy wrzucali połamane konary, spróchniałe pieńki, a nawet duże kamienie. Po godzinie usypali w dziurze dwa podwyższenia, dzięki którym mogli swobodnie obserwować położone nieco niżej wysypisko. Dodatkowo zamaskowali kryjówkę świerkowymi gałęziami. Zmęczeni nieziemsko szli do swoich domów.

– A co będzie, jak nas złapią? – spytała trwożnie Marysia.

– Nic nie będzie, czy my będziemy robić coś złego? Czy my będziemy łamać prawo? Nie moja droga, my będziemy spędzać czas na łonie natury.

– Nocą?

– A czemu nie? Całkiem przyjemna pora – Kostek wziął Marysię za rękę. – Nie bój się. Wszystko będzie dobrze. Nie możemy tego teraz tak zostawić, to jakby zrobić sobie obiad i go nie zjeść. Rozumiesz? Do piątku jeszcze dwa dni. Trzeba zachować spokój.

Marysia starała się zrozumieć. Pomagało jej w tym spojrzenie Kostka.

– OK. Poradź mi lepiej, co mam zrobić z psami, nie mogę psiaków zamknąć w domu, bo ciotka ich za próg nie wpuszcza. Dziury w ogrodzeniu są takie, że na pewno nocą za mną pobiegną. Co robić?

– A nie macie jakiejś zamkniętej drewnutni czy szopki, można je tam tę jedną noc przetrzymać.

– Nic takiego nie ma, a nawet gdyby było, to zamknięte psy narobiłyby straszego hałasu.

– Kurczę, no nie wiem, może im coś dać na uspokojenie albo na sen...? Żartowałem, żartowałem – zawołał szybko, widząc święte oburzenie na twarzy sympatii.

– Już wiem, nie dostaną wieczorem kolacji, tylko jak będę wychodziła, duża miska mięsa zatrzyma je na pewno.

– Powinno zadziałać, tylko niech ta micha będzie naprawdę wielka, żeby jedzenie zajęło im dużo czasu – poradził Kostek

– Chyba nie wątpisz w zawartość naszej chłodziarki?

– Nie, w to nie wątpię. Zdążyłem już trochę poznać ciotkę Stefę – powiedział Kostek i oczyma wyobraźni zobaczył wypełnione jak na Wielkanoc wnętrze lodówki.

Rozdział 28

Pod wieczór wróciła ciotka z Misiaczkiem i... panem Tomkiem. Przez trzy godziny sprząтали zalane mieszkanie. Najwięcej wody było w łazience, ale i na korytarzu zamokła cała wykładzina. Pan Tomek, czując się winnym, pomagał im z całych sił, podczas gdy żona z dziećmi sprzątała własny dom. Zbieranie wody było z jednej strony zajęciem wyczerpującym, ale z drugiej sprzyjało integracji. Ciotka Stefa nieraz musiała przywoływać obu zagadanych panów do porządku. Architekt i grafik mieli wiele wspólnych tematów, z których jeden był najważniejszy: komputer. Pani Ania, która weszła na chwilę skontrolować pracę męża, wpadła w histerię zobaczywszy stojącego po kostki w wodzie małżonka gadającego z Misiaczkiem siedzącym na wannie. Do rękoczynów nie doszło tylko dzięki cioci Stefie.

Po wyciszeniu awantury, trzaśnięciu drzwiami i kategorycznym stwierdzeniu „Ty już mi się więcej na oczy nie pokazuj” uradzono, że dla polepszenia atmosfery najlepiej będzie, jak pan Tomek spakuje manatki i pojedzie odreagować powódź do domku letniskowego. Gdy wychodzili obładowani komputerem, bez którego sąsiad nigdzie się nie ruszał, natknęli się jeszcze na pana Robercika. Sąsiad skłął ich piękną polszczyzną za hałasy, demolkę i powódź w przyzwoitej kamienicy.

– Rozumiem, żeby był święty! – oburzała się ciotka popijając kawę – Ale to przecież u niego są bez przerwy jakieś libacje!

– Wykorzystał moment i przystąpił do natarcia – Marysia знаła pana Robercika dwanaście lat i dobrze wiedziała, co z niego za ziółko. – Pamiętam, jak gonił po schodach swojego gościa, który zwiewał z butelką wina. To był dopiero cyrk! Latali tak z piętnaście minut, dopiero jak się zjawił posterunkowy, to się uspokoili, ale na krótko. Policjant zarekwirował butelkę i była jeszcze większa awantura.

– A właśnie, jak tam Marysiu twoje psy? Widziałem, że już nieźle podrosły. Nadal nie mają właścicieli? – pan Tomek podrapał się po czole. – Akcja marketingowa chyba nam nie wyszła?

- Jedyna Pusia znalazła dom, reszta towarzystwa dewastuje ogród pana Michała.
- Wiesz co, zapytam takiego jednego kumpla z pracy. Oni się teraz przeprowadzają do nowego domu pod miastem, może będą chcieli jednego szczeniaka? – pan Tomek siorbnął kawy i spojrzał na ścianę. Spojrzał raz, jeszcze raz i dręt看ym głosem zapytał:
 - Czyje to dzieło?
 - Kubusia – równocześnie odpowiedzieli domownicy.
 - A ile lat ma autor?
 - Trzy, a co? Nie możemy wyrzucić, bo się obrazi, ja jadam bokiem albo tyłem do tych malowideł, inaczej apetyt mi odbiera. Miał wisieć jeden, ale Kuba był uparty i kazał powiesić dwa, nie chcieliśmy awantury i tak sobie wiszą – wyjaśniła Marysia.
 - Przecież to jest genialne!!! Rozumiecie, po prostu g e n i a l n e! To jest projekt, którego szukam od miesiąca!
 - Trup kury czy zjełczały majonez? – chciała wiedzieć ciocia Stefa. Pan Tomek spojrzał na nią nieprzytomnie.
 - Czy ten mały mógłby coś jeszcze narysować?
 - O to jestem spokojna, co jak co, ale pomysły to on ma. W malarstwie interesuje go głównie spożywka – powiedziała Stefa i energicznie zamieszała w kubku łyżeczką.

Kochana Marysiu,

Psy są, niestety, śliczne. Rozmawiałam z tatą i ustaliliśmy, że jednego możesz zatrzymać, ale tylko jednego i to pod pewnymi warunkami:

A – będziesz go wyprowadzać o świcie na dwór,

B – nie będzie wchodził nam do łóżka,

C – nie będzie skomlał i wył po nocach,

D – gryzł sąsiadów i przyjaciół,

E – zaglądał nam do talerzy i zebrał o jedzenie.

Zorganizuj to jakoś do naszego przyjazdu i wydaj maluchy w dobre ręce J

Co do prof. Smith to ma na imię Sara. Tata mówi, że zdolna z niej bestia, uczy się języka polskiego z szybkością światła. Potrafi powiedzieć „szczypiorek” i to tak, że łapiemy, o co chodzi. Wczoraj byliśmy na bankiecie wydanym z okazji otwarcia nowego wydziału na

uniwersytecie. Lecąc tutaj, nie braliśmy pod uwagę takiej okoliczności, co odbiło się mocno na naszych strojach (dżinsy, sandały, t-shirty). Całe szczęście nie byliśmy osamotnieni, jeden z gości był w pizamie (tata twierdził, że to był jakiś tradycyjny strój plemienny, ale ja wiem swoje).

„Włochata krowa” ignoruje nas zupełnie, przeżuwa tylko cały czas trawę albo idzie sobie pogadać z koleżkami. Chcę do domu!!! Ratuj mamę!!!

Pa, pa, pa, pa, papaski

Stęskniona rodzicielka

P.S. Jak tam Stefa?

Mamo, droga Mamo,

Tak to jest, jak się przedkłada bizony nad własną córkę. Prześlijcie mi, chociaż zdjęcie tego samca, niech przynajmniej poznam konkurenta. Pan Tomek (ten z góry) zalał nam mieszkanie, ale nie jest źle, tylko wykładzina musi się wysuszyć i trzeba będzie pomalować sufit. Ciotka z Misiem uratowali dobytek, a przy okazji małżeństwo pani Ani – zabrali jej z oczu małżonka. Sprawca nieszczęść pracuje teraz na poddaszu domku z Kubusiem – trzylatkiem, który okazał się niezwykle utalentowanym malarzem. Podobno, jak projekt przejdzie, maluch dostanie jakąś kasę. Ciotka Stefa w euforii. Pan Michał kupił ekspres ciśnieniowy, wypijają, więc po siedem kaw dziennie (jestem ciekawa, komu pierwszemu serce wysiadzie?).

U mnie wszystko OK. Pryszcze, pod wpływem słońca, same się zasuszyły.

Rozdział 29

Ekspres wysiadł. Żaden producent nie przewidział tak wielkiego zapotrzebowania na kawkę z pianką, jakie miało miejsce w domku nad jeziorem. Pan Tomek, nałogowy kawosz, wrzucał do zlewu kolejne brudne kubki. Zapach mielonych ziaren przyciągał tłumnie nowych znajomych z okolicy, bowiem wieść o gościnnym domu poniosła się wzdłuż całego jeziora. Misiaczek serwował więc czarny napój każdemu i o każdej porze. No i ekspres nie wytrzymał ciśnienia – dziś rano ani drgnął. Panowie obejrzeli go najpierw dokładnie, trochę popukali, potem pogłaskali jego srebrzysty front, w końcu usiedli zrezygnowani, wpatrując się smętnie w bezużyteczne urządzenie.

Jedynie Kubuś nie dostrzegał w ogóle powagi sytuacji i spokojnie oglądał gazetę, analizując sytuację polityczną kraju.

– Sami nic nie poradzimy, jest na gwarancji, trzeba go zawieźć do naprawy – Misiaczkowi, nie wiedzieć czemu, do prawego oka napłynęła łza.

– No – poparł go pan Tomek – będziemy pić rozpuszczalną lurę – dodał płaczliwie.

– A ten, ooo! Jaki fajny! – wykrzyknął mały, pokazując zdjęcie przysypiającego w poselskich ławach polityka.

– Pewnie nie wypił kawy – pan Michał głośno przełknął ślinę.

– Albo nawalił mu ekspres – dodał artysta.

I takich zbolałych zobaczyła ich Marysia, która dziesięć minut później weszła do kuchni. Wymyta, pachnąca miętowym mydłem prezentowała się niezwykle świeżo i apetycznie. Była w doskonałym humorze. Słońce świeciło bez opamiętania, psiaki urządzały pod oknem pogoń za własnymi ogonami, a gruby Ziutek, zmęczony nocną randką, spał w najlepsze na werandzie.

– Ho, ho! Miny macie marsowe – zaszczebiotała.

Odpowiedziały jej dwa ponure spojrzenia i jedno ciężkie westchnienie. Kubuś trwał niewzruszony przy gazecie.

- Co jest? Coś się stało?
- Ekspres zdechł – poinformował lakonicznie pan Tomek.
- Aha – przyjęła do wiadomości smutną prawdę Marysia, po czym wetknęła zwisającą wtyczkę do kontaktu. Ekspres zabulgotał radośnie.

W tym samym czasie ciotka Stefa w towarzystwie Paszteta wracała ze sklepu.

Szczeniak skakał na siatkę pełną wędlin, serów i jogurtów. Z dużym wdziękiem manewrował między zwisającą torbą a nogami swojej żywicielki.

- Pasztet, ty nicponiu – strofowała go ciotka – trochę godności, zachowaj trochę godności.

- Hau, hau – odpowiedział pies i liznął ją w kostkę.

Ciotka Stefa kwitła. Tak szczęśliwego okresu nie pamiętała od szkolnych czasów. Miała wszystko to, co kobieta mieć powinna – kochanego mężczyznę, niczego sobie rodzinę, plany na przyszłość i głowę pełną wymyślnych potraw, którymi mogła uraczyć królową Anglii. Miała nawet ekspres ciśnieniowy.

Pasztet wleciał jej pod nogi.

- Uważaj kochany, bo ci coś przydepnę – upomniała szczeniaka. Pies natychmiast odskoczył, intuicyjnie rozumiejąc wagę niebezpieczeństwa.

- Dzień dobry sssąsiadce – świszczący głos Krapkowej wyrwał ją z zadumy – Ziółka pomagają?

- O matko, ale mnie pani wystraszyła! Pomagają, pomagają, czuję się jak skrzyżowanie pantery z sarną.

Pani Zofia nieufnie zmierzyła sąsiadkę wzrokiem.

- To znaczy dobrze?

- Jasne, że dobrze, cudownie po prostu! Lekko, zwinnie, młodo – ciotka zakręciła się w miejscu, śmiejąc się w głos – jak panienka – mrugnęła filuternie do zdezorientowanej Krapkowej.

- Święci wszyscy! – Pani Zofia przeżegnała się dwa razy – chyba dałam jej te na głowę – mruknęła do siebie i opuściła szaloną Stefę. Ciotka pogłaskała Paszteta i bez pośpiechu, zachwycając się po drodze każ-dym kwiatkiem, dotarła wreszcie do ogrodu. Już od furtki zauważyła Grubego Ziutka z narzeczoną. Mela właściwie przeniosła

się do nich na stałe. Nie miała jeszcze odwagi, by chyłkiem wejść do domu, ale okupowanie werandy weszło jej w krew. Franka i szczeniaki po kilku krwawych bitwach zaakceptowały dziewczynę kocura. Między paniami panowała wymuszona obojętność, której gwarantem był przywódca haremu – Ziutek.

„Bajo bongo, bajo bongo...” ciotka usłyszała od progu donośny głos swojego Misia.

„Stuk, stuk, stuk” ktoś wybijał rytm śpiewanej piosenki. Rozbawiona zajrzała do kuchni.

Jej ukochany śpiewając wlewał wodę do ekspresu. Pan Tomek z zamkniętymi oczami walił drewnianą łyżką w blat stołu, na którym realizował się twórczo Kubuś. Marysia z zatkanymi uszami usiłowała czytać gazetę.

– Halo, kawę poproszę! – ryknęła od drzwi.

– Oczywiście skarbie, już się robi. Dla ciebie wszystko. – Misiaczek cmoknął Stefę w policzek. Artysta przestał wreszcie znęcać się nad stołem.

– Przypomniałem sobie dawne czasy – pan Tomek z żalem spojrzał na drewnianą łyżkę – w liceum byłem perkusistą, podobno nawet miałem talent – westchnął i zdecydowanym ruchem wrzucił łyżkę do szuflady.

– Uff – Marysia odetkała uszy – talent OK, ale repertuar trochę skostniały.

– Jaki skostniały! – obruszył się pan Michał – Ponadczasowy mała, mówię ci ponadczasowy. Kubuś tobie się podobało, prawda? – zawiesił wzrok na chłopcu.

– Neeee – dobił go współnik. – Idziemy pjacować! – rozkazał wbijając palec w oko niedoszłego perkusisty.

– No i masz babo placek! Żonę tyrana zamieniłem na wymagające dziecko. Dobra, już dobra, idziemy do góry. W końcu muszę oddać ten projekt, a bez twojego świeżego spojrzenia to z głodu umrę ja i cała moja rodzina – powiedział na odchodnym popychany przez Kubę.

Rozdział 30

Tego dnia wszystko sprzysięgåło się przeciw panu Tomkowi. W południe obławowana jak wielbłąd pojawiła się żona z dziećmi i chomikiem w klatce. Uznała, że mąż i tak wykorzystuje nadmiernie gościnność Michała i postanowiła odwdzięczyć się góra jedzenia. Góra była wielka, tak wielka, że o zmieszczeniu jej do lodówki nie było mowy. Marysia z Kubusiem poszli więc podrzucić trochę jadła do zamrażarki sąsiadów. Kostek już na nich czekał, sprawnie wrzucili jedzenie, zatrzasnęli pokrywę i żując cynamonową gumę czekali na przyjaciół.

– Czułem się tak, jakbym pokrojonego trupa wkładał do zamrażarki – spojrzał na swoje dłonie – Oto ręce zbrodniarza! – podetknął je Marysi pod nos.

– Oszalałeś?! Weź te łapska. Brrr... Chyba zostanę wegetarianką.

– Uhu, już widzę, co na to twoi rodzice – Kostek pomacał się po szczęce sprawdzając, czy ma wszystkie zęby. Wolał nie ryzykować bezpośredniego spotkania z dentystą, a guma niebezpiecznie przyklejała się do trzonowców.

Marysia wyjrzała przez okno.

– O! Idą! – krzyknęła i wybiegła na spotkanie Ady, Kiki i Jasia, za nią w podskokach podążył Kubuś.

W planach mieli długą kąpiel, grę w siatkówkę i leniuchowanie.

Marysia musiała jeszcze tylko wstąpić po drodze po strój i już miło mogli spędzić ten letni dzień, uczciwie odpoczywając przed czekającą ich nocną wycieczką. Ale plany, jak to czasami z nimi bywa, wzięły w łeb. Już kilkaset metrów przed domem Marysia poczuła niepokój, z każdym krokiem przeczucie mówiło jej, że coś się stanie, coś, co zakłóci tak miły czwartek i spowoduje globalną katastrofę. Przeczucie jej nie myliło. Trzydzieści metrów od furtki usłyszeli wycie Franczeski, pięć metrów później dołączyło do tego miauczenie Ziotka i Meli, dziesięć metrów przed bramą wyła, skowyczała i jęczała już cała menażeria. Na odgłosy zwierząt nakładał się wrzask dzieci i krzyki

dorosłych. Grupa przyjaciół, tknięta impulsem, biegiem wpadła do ogrodu. Widok był naprawdę imponujący, na werandzie niczym wódz na polu bitwy stała ciotka Stefa, trzymając za ucho jedną z pociech pana Tomka. Którą, nie było wiadomo, bo pociecha była cała w czarnej mazi. Po ogrodzie biegała pani Ania, łapiąc pozostałą dziatwę. Było to jednak zadanie trudne, biorąc pod uwagę, że kondycję miała słabą, a małe były zwinne i bystre. Kot Ziutek z nieodłączną Melą próbowali ściągnąć sobie z głów pasiaste, dziecięce gatki, a Franczeska jak szalona lizała, tarzające się, skomlące szczeniaki. Mężczyźni, których sytuacja najwyraźniej przerosła, stali jak wmurowani, gapiąc się na tę gangsterkę. Marysia pierwsza otrząsnęła się z szoku. Spokojnie podeszła do kotów i z lekkim obrzydzeniem ściągnęła im gatki, rzucając je za siebie. Gruby Ziutek, po chwili refleksji, zwinął ogon i obrażony na świat dał nura w krzaki, pociągając za sobą wierną Melę. Kostek i Jasiek zajęli się łapaniem nadpobudliwych dzieci. Po chwili sytuacja dojrzała do wyjaśnień. Na trawniku w karnym rzędzie stało troje małych Mizgalskich – powalany mazią Jonasz, Marta i Zośka. Wszyscy wyglądali jednakowo – brudne krótkie spodenki eksponujące strupy na kolanach, brudne koszulki i niewinne miny aniołków. Różnił ich tylko wzrost, siedmioletni Jonasz, najstarszy z rodzeństwa, był wierną kopią pana Tomka. Takie same niebieskie oczęta, blond włoski i błakający się na ustach, niepewny uśmiech. Zośka i Marta, cztero- i pięcioletka, były bystrzymi dziewczynkami, które już wiele widziały i z niejednego pieca chleb jadły. Obcięte na chłopaka, z zadartymi noskami i piegami przypominały bardziej podwórkowych rozrabiaków niż grzeczne dziewczynki z inteligentnej rodziny. Z dziarskimi minami oczekiwały teraz na wyrok, zezując lekko w stronę nieskazitelnie czystego Kubusia.

- Co macie na swoją obronę? – zapytała fachowo pani Ania, nałogowy widz wszystkich filmów kryminalnych.
- My nic złego nie robiliśmy – Marta przyjęła wypróbowaną linię obrony.
- Chcieliśmy się tylko pobawić ze zwierzętami – Jonasz był bliski łez.
- W dom chcieliśmy się bawić, ale one nie chciały – Zośka wyciągnęła oskarżycielski palec w stronę Franczeski. – Nie dbają o

higienę – oświadczyła córka pediatry.

Wszyscy spojrzeli na wściekle liżące się psy. Pana Tomka coś tknęło.

– Nie chciały się myć?... I co?

– Trzeba je było popsikać – zapędziła się Zośka.

– Ty głupia ty! Papla! – Marta bezlitośnie kopnęła siostrę w kostkę.

– Auuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu!!! Mamo, ona mnie bije!! – wydarła się najmłodsza pociecha.

– Czym popsikaliście?!! – nie dał się zbić z pantałyku ojciec i dalej przesłuchiwał oskarżonych.

Dzieci spojrzały po sobie niepewnie.

– Pe-perfumami. Tymi ładnymi, mamy – przyznała wreszcie ze skruchą Zośka.

– Całą butelkę wylaliśmy, żeby nie śmierdziały – dodał szczerze Jonasz.

– Czterysta dwadzieścia pięć złotych dziewięćdziesiąt dziewięć groszy

– głos pani Ani był słaby. Słabiuteńki.

– A co to za numer miał być z tymi gaciami na kocich łbach? – teraz ciotka Stefa przejęła stery. Do rodziców dotarło, że ponieśli pedagogiczną klęskę.

– A co miało być?! Hm! – Marta wzruszyła ramionami – salon piękności. – Kolorek nie ten, chcieliśmy zmienić, ale się klientki rozmiały – dodała z pretensją w głosie.

Kubuś, milczący dotąd świadek tej przykrej sceny, podniósł do góry palec:

– Ziutek ma za dużo judego – popisał się młody artysta błyskawicznie zyskując aprobatę rodzeństwa.

– No, nie mówiłam! – Marta z uznaniem spojrzała na małego. – Ten rudy

go postarza, kolorek do kitu! Gatki miały ochronić uszy i głowę, resztę chcieliśmy maznąć na niebiesko.

– Ummm – rozpromienił się Kubuś – la-zu-jo-wy – przesylabizował ze smakiem.

Pani Ania, pogrążona w żałobie po swoich perfumach, nie uczestniczyła już w wymianie zdań.

– Uffff... odetchnął z ulgą pan Michał. – Dobrze, że wam się te koty wywinęły, nie wiadomo, jakby wyglądały...

– Wiadomo! – obruszył się Jonasz – jak pomalowany chomik! –
chlapnął nieopatrznie i natychmiast zatkał sobie buzię.
Kostkowi nie pozostawało już nic więcej, jak przełknąć wreszcie
stojącą mu od kilku minut w gardle, cynamonową gumę do żucia.

Rozdział 31

Po ustaleniu i skarceniu winnych przystąpiono do szorowania psów i zmywania niebieskiej plakatówki z chomika. Żurek, bo tak nazywał się ten lazurowy nieszczęśnik, był gryzoniem odpornym i zahartowanym. Od pierwszych tygodni swego życia oswojony z dzikimi pomysłami opiekunów poddawał się im bez emocji i oporu. Był też zapalonym podróżnikiem, ilekroć dzieci wyjeżdżały, zawsze zabierały go ze sobą. Dzięki temu słyszał szum morza, wiatr halny, a nawet śpiew ptaków o brzasku nad mazurskim jeziorem. Teraz z rezygnacją poddawał się myciu, które miało uczynić go na powrót rudo-białym chomikiem.

Marta starła gąbką ostatnie niebieskie smugi.

– Gotowe – zawyrokowała przyglądając się łysemu Żurkowi. – Trochę się trzęsie, zawiń go! – rozkazała Jonaszowi i zadowolona z siebie poszła zobaczyć, jak ekipie pod dowództwem Marysi idzie szorowanie psów.

Tu sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej. Perfumy warte były swoich pieniędzy, zapach był intensywny, długotrwały i zniewalający. Wsadzane po kolei do miski z wodą psy nie potrafiły zachować godności – za wszelką cenę próbowały wydostać się z kąpeli i zwać gdzie pieprz rośnie. Najgorzej zachowywał się Pasztet, był na tyle silny, że trzy osoby musiały go trzymać, a i to udawało się z trudem. Przeróżne wycie i psie lamente długo jeszcze rozbrzmiewały nad jeziorem. Wreszcie po godzinie tortur, całe towarzystwo, wytarte do sucha ręcznikami, zostało wypuszczone na wolność. Na świecie zapanował spokój.

Pani Ania z małżonkiem spoczęli na kocyku pod wiśnią, obok na leżakach rozlokowali się pozostali uczestnicy minionych wydarzeń. Małe Mizgalskie zaś wraz z Kubusiem i zamkniętym w klatce Żurkiem, grzecznie powędrowały oglądać Shreka.

– Ach, Maryśka! Przez to całe zamieszanie zapomniałem ci powiedzieć,

że mam chętnego na dwa, podkreślam dwa, szczeniaki, ale koniecznie suczki. Ten mój znajomy, pamiętasz, ten z nowym domem, zdecydował się zaryzykować. Co prawda są bez rodowodu, porzucone przez ojca i nie wiadomo, co z nich będzie, ale co tam... – pan Tomek uśmiechnął się szeroko, pokazując lśniące zęby amanta filmowego – bierze w ciemno!

– Dwa?! – Marysię zabolalo serce.

– Aż dwa?! – ucieszyła się ciotka Stefa i klasnęła w dłonie. – Są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie!

– No to jeszcze tylko Pasztet zostaje do wydania – stwierdził Kostek

– Jasiek, a może ty chcesz psa? – obrócił się do kolegi – nie masz rodzeństwa, to chociaż psa sobie zafunduj.

– Pewnie, że bym chciał, tylko przekonaj moich rodziców. Mama trzy razy dziennie myje podłogi, a tata składa w kostkę rzeczy przed spaniem. Czy w takim domu można mieć psa? – spojrzał żałośnie na przyjaciół.

– No faktycznie, nie można – zgodził się Kostek. – Muchy w domu nawet mieć nie można.

– Co najwyżej w nosie – zaśmiał się z własnego dowcipu Misiaczek.

– Kawki? Dobra, z ciśnieniowego ekspresu – pochwalił się i po przychylnym rozpatrzeniu propozycji poszedł nastawić srebrną maszynę.

Z domku wylazły znudzone dzieciaki. Oglądanie po raz dziesiąty tego samego filmu nie było zajęciem dostatecznie zajmującym.

– Chcemy się wykąpać – oświadczyła Marta, samoczynna przywódczyni grupy.

– To ktoś musi z wami iść nad jezioro – pani Ania spojrzała na męża. Ten skulił się na leżaku i jak ryba, bezgłośnie wypowiedział „Nie, błagam, nie”. – Ktoś odpowiedzialny i troskliwy, ktoś, komu mogę zaufać w każdej chwili i każdym miejscu... Tomku, nie zachowuj się jak uczeń. Przecież w dziewięćdziesięciu procentach to są twoje dzieci! A Kubusiowi podobno zawdzięczasz powrót weny twórczej? – pogrożyła go żona.

Pan Tomek stracił resztki nadziei. Zebrał się niemrawo z wygodnego leżaka i noga za nogą powlókł się za uradowanymi dziećmi.

W ogrodzie nadal oddawano się leżakowaniu, plotkowaniu i opowiadaniu starych dowcipów. Ziutek, podrażniony zapachem przysmaków, powrócił na swoje miejsce na werandzie, bacznie obserwując, czy nie skapnie mu jakiś łakomy kąsek. I tak miło było do czasu, kiedy zza krzaków wylazły szczeniaki – okazało się, że postanowiły na własną łapę zabić zapach perfum i szamponu z kwiatu lotosu – wytarzane w krowim łajnie cuchnęły na kilometr.

Rozdział 32

Wszystko odbywało się zgodnie z planem, teren został oczyszczony z psów, kryjówka przygotowana, tylko... bohaterowie byli zbyt zmęczeni, by myśleć bez ziewania o nocnej eskapadzie. Marysia z Kostkiem postanowili nastawić budziki i natychmiast położyć się spać. Tylko sen mógł przywrócić im energię i optymizm, zwłaszcza Marysi, która z upływem godzin czuła dopadający ją strach. Ale jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, przewracała się z boku na bok i z nerwów nie mogła nawet oka zmrużyć. Wydawało jej się, że w ogóle nie zasnęła, toteż bardzo się zdziwiła, gdy usłyszała dzwoniący budzik. Wyciągnęła rękę spod kołdry i uciszyła intruza. Otworzyła oczy, spojrzała nieprzytomnie w sufit, poleżała jeszcze chwilę i nagle gwałtownym gestem zerwała się z łóżka, jednocześnie macając džinsy leżące na krześle. Ubrała się szybko, zakładając na siebie trzy warstwy rzeczy. Ostrożnie wyjrzała na korytarz. Pusto i prawie cicho – z poddasza dobiegało jedynie potężne chrapanie pana Tomka, chrapanie, które bez trudu zagłuszyłoby odrzutowce. Marysia zakradła się do kuchni, wzięła z lodówki miskę z mielonym i wyszła na taras. Franczeska z ekipą już na nią czekała. Wyglodniałe psy rzuciły się na mięso, a dziewczynka pospiesznie przebiegła przez ogród i otworzyła furtkę. Noc była przeraźliwie zimna, przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie wrócić po kurtkę, ale było to zbyt ryzykowne. Pospieszyła na umówione miejsce pod starą lipą. Byli tam już wszyscy z wyjątkiem Kostka.

– Cześć, jak humorek? – pierwszy odezwał się Jasiek.

– Może być, gdzie Kostek? – spytała.

– To my pytamy, gdzie Kostek? Już trzy minuty po czasie, komórka nie odpowiada, wiadomości brak – Ada spojrzała pytająco. Ubrana była jak na zimę, miała nawet ciepłą opaskę na głowie.

– Nic nie wiem, myślałam, że będę ostatnia.

– Jak długo możemy czekać? Może wyślijmy mu wiadomość, żeby się odezwał – niecierpliwił się Jasiek.

– Dobra, wysyłam smsa, że czekamy jeszcze dziesięć minut i rozchodzimy się na swoje posterunki – zadysponowała Ada.

– Ale nie myślicie chyba, że ja pójdę sama do kryjówki, mowy nie ma!!! Bez Kostka się nie ruszam albo idę do domu – Marysia miała stanowczą minę.

– No niby racja, przecież nie będziesz siedziała sama w tej norze – Jasiu pochuchał w ręce. – Ale zimno, może pójdziesz z nami, mamy dużą kryjówkę, zmieścimy się tam wszyscy. Hmm, nawet zaczyna mi się to podobać, dwie piękne niewiasty przytulone do moich męskich ramion ciemną nocą w chaszczach... – Jasiu najwyraźniej się rozmarzył.

– Idzie! – krzyknęła z ulgą Ada – Nareszcie! Gdzie się podziewałeś! Czemu nie odbierałeś telefonu?

– Cześć. Miałem cały dom obudzić rozmowami? Już i tak miałem problem z Pusią, chciała wyjść ze mną przez okno, nocnego spaceru jej się zachciało. Musiałem ją przywiązać do nogi od łóżka. Ale zdrowia mnie to kosztowało! Nie ma co. Jestem ciekawy jutrzejszej awantury, Kubuś nie puści mi tego płazem.

– Dobra. Jesteśmy w komplecie, każda para idzie do swojej kryjówki i czekamy na niezwyciężonego policjanta Koźlaka i jego akcję. Żadnych zbędnych słów i gestów, pełen profesjonalizm, obserwujemy, analizujemy i wyciągamy wnioski. Jakby co, wysyłamy wiadomości, komórki nastawione na wibracje. Jasne?

– Tak jest, komendancie – powiedział nieco ironicznie Kostek.

– Ale ja nie rozumiem tego, j a k b y c o? – wtrąciła Ada – Nie zamierzam wplątywać się w jakąś aferę, zamierzam ograniczyć się tylko i wyłącznie do obserwacji, a więc to j a k b y c o mnie nie dotyczy! Ada spojrzała wyzywająco na Jasia.

– Oczywiście, oczywiście, chodźmy już, jest późno, musimy przecież wszystkich wyprzedzić – Kostek pociągnął za sobą Marysię – Idziemy, cześć.

Do kryjówki dotarli bez trudu. Najciszej, jak umieli, poprzekładali zasłaniające dziurę świerkowe gałęzie i weszli do wyrwy. Bez jednego słowa wychylili się i popatrzyli na „zakochaną polankę”. Było pusto i cicho.

– Cisza przed burzą – powiedziała półgłosem Marysia, moszcząc się wygodnie na swoim miejscu.

– Jak na morzu, albo porwie nas ten sztorm i utopi, albo wyrzuci na brzeg – Kostkowi zebrało się na sentencje.

– Wolałabym, żeby w ogóle nie było tego sztormu. Strasznie chciało mi się spać, właściwie to ciągle mi się chce. Pani Ania z potworami wyjechała bardzo późno, dwa razy się wracali, raz – bo zapomnieli chomika, drugi – bo zapomnieli Jonasza. Wyobrażasz sobie, zapomnieć zabrać swojego syna?

Co prawda sam się schował, no ale nikt go nie szukał, a Zośka to nawet zadowolona była. Ciocia Stefa mówi, że pani Ania żywcem do nieba pójdzie.

– Miałaś szczęście, że pospałaś choć trochę. U mnie najpierw Kuba nie chciał się położyć, a potem Pusia urządziła sobie wieczorne polowanie w naszej sypialni. Biegała jak oszalała, bawiła się zabawkami, wskakiwała na tapczan i lizała farby plakatowe. W końcu wpadłem na genialny pomysł i przyniosłem płyty ojca ze współczesną muzyką poważną. W ciągu pięciu minut wszyscy zasnęli!

– Ciiii, zobacz! Koźlak!

Rzeczywiście na polance, we własnej osobie pojawił się policjant. Ubrany był sportowo, nie miał też policyjnej czapki. Stał na środku wysypiska i rozejrzał się na boki, najwyraźniej na kogoś czekał. Po chwili sięgnął do kieszeni i wyjął swoją nieśmiertelną kaszanke.

– Czuję jej zapach – wyszeptał Kostek.

Marysia stłumiła chichot.

Policjant Koźlak jadł ze smakiem. Od czasu do czasu oglądał się trwożnie za siebie i przemieszczał parę metrów dalej. Uhhhu – zahuczała gdzieś blisko sowa. Młodszy aspirant przestał jeść i nadśłuchiwał. Uhhhuuu – powtórzyła. Tym razem sowa odebrała Koźlakowi apetyt, resztę kaszanki zawinął w papier i schował do kieszeni spodni.

Żwawym krokiem człowieka zdecydowanego na wszystko przeszedł na skraj wysypiska i usiadł na konarze. Marysia i Kostek schowali głowy, by naradzić się na dnie kryjówek.

- Dlaczego on się nie chowa? Będzie tak tu teraz siedział na widoku?
- gorączkowała się Marysia.
- Chyba na kogoś czeka, może na jakieś posiłki, przecież sam nic nie robi.

Jakiś kamień wpadł do środka. Spojrzeli na siebie ze strachem.

Zamarli. Po chwili drugi kamień omal nie uderzył Marysi w głowę.

– Duchy, duchy!! – szeptała w popłochu. – Co się dzieje, jakieś zwierzę, może niedźwiedź!

– Tu nie ma niedźwiedzi, królewno – powiedział pewnie chłopak, choć dygotała mu szczęka.

– Niedźwiedź grizzly, wariaci!! Posuńcie się, bo zaraz mnie zauważy – wyszeptał głos nad nimi.

Odruchowo odsunęli się od siebie i w tym momencie jakieś ciało plasnęło tuż obok ich nóg.

– Kika! – powiedzieli jednocześnie.

– Nie, niedźwiedź we własnej osobie – Kasia usadowiła się między nimi. – Przecież musiałam tu przyjść, a do kryjówki Jasia nie pójdę, jeszcze czego, żeby się mądrzył – wyszeptała.

– Ale skąd wiedziałaś, że tu się chowamy? – spytał Kostek.

– Phi, nie wy jedni potraficie śledzić. To był ostatni moment, żeby się do was przedostać, zaraz tu pewnie będzie pełno policji. Nie sądzę, żeby ten wiecznie objadający się Maślak potrafił złapać sam nawet muchę.

– Koźlak – poprawili ją.

– Wszystko jedno, Maślak czy Koźlak i tak oferma.

Ostrożnie wysunęli głowy z nory. Młodszy aspirant Koźlak niczym posąg siedział na konarze i medytował. Przyjaciele schowali się na dno kryjówki, przytulili do siebie i w milczeniu rozcierali zmarznięte ręce. Minęło dziesięć minut. Marysi było niewygodnie, ścierpły jej nogi. Podrapała się po szyi – raz... drugi raz. Miała wrażenie, że ciągle ją coś gryzie.

– O do diabła! – zaklęła dramatycznie Kika – dawajcie latarkę, no szybko! – niecierpliwiła się.

Kostek wygrzebał z plecaka długopis z żaróweczką.

– To ma być latarka? Zwariowałaś? – Kika była mocno rozdrażniona.

– Ja mam wojskową pana Michała, masz – podała ją koleżance.

Kika zaświeciła po dnie kryjówki, gdzie niezrażone obecnością intruzów, najspokojniej w świetle uwijały się mrówki.

– Mamo kochana! – szeptem panikowała Marysia. – Ja chcę do domu!

– Czułam, że coś mnie skubie! Co robimy?

Kostek popatrzył na mrówki.

– Macie coś słodkiego?

Kika wyciągnęła z kieszeni Marsa.

– Może być?

– To się okaże.

Rozpakowali baton, przełamali na pół i położyli w przeciwnych kątach kryjówki. Mrówki błyskawicznie skupiły się wokół słodkości.

Batony wyglądały, jak dwa ruszające się wielkie, czarne robale.

– Ohyda – zaszeptała z obrzydzeniem Kika. Zbili się w ciasną gromadkę pośrodku kryjówki.

Brrrr, brrrrrrrrr – zatańczyła komórka Marysi.

– Tak?

– Co się dzieje? Wydawało mi się, że widziałem światło. Co to za akcje na własną rękę! Dobrze, że Koźlak przysypia, mógł was zauważyć! – słychać było wzburzony szept Jasia.

– Wszystko pod kontrolą, potem ci wytłumaczymy – uspokajała – Fatalnie. O do diabła, są! – Jasiu nieomal wykrzyknął i natychmiast się rozłączył.

Faktycznie, powoli, bez świateł jechał policyjny radiowóz. Młodszy aspirant Koźlak zerwał się na nogi i zaczął ruchem ręki przywoływać kierowcę. Samochód podjechał, drzwi się otworzyły i wyskoczyło z niego trzech policjantów. Z daleka widać było inspektora Kotka, który górował wzrostem nad pozostałymi funkcjonariuszami. Auto zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Mężczyźni podeszli do młodszego aspiranta i zaczęli z nim cicho rozmawiać. Mimo nadludzkich wysiłków czynionych przez trójkę ukrytych detektywów, niczego nie słyszeli – odległość była zbyt duża, a rozmowa prawie bezgłośna. Po kilku minutach wszyscy policjanci schowali się w pobliskich krzakach. Najwięcej problemów z rozplaszczaniem się na ziemi miał inspektor Kotek. Trzy razy zmieniał krzaki, a i tak zza każdego coś mu

wystawało. Wreszcie znalazł leszczynę, która skryła go prawie w całości.

Od tej pory zaległa cisza absolutna. Marysia z przyjaciółmi zaczęła porozumiewać się na migi. Siedzieli przytuleni do siebie, od czasu do czasu wystawiając czubek głowy, by sprawdzić, czy aby na pewno nic się nie dzieje. Marysi znowu zachciało się spać, chyba jednak nie tylko jej, bo Kostek wyjął z kieszeni gumę i poczęstował dziewczyny. Tak, żucie gumy zdecydowanie wspomaga wymarznięty i znużony ciągłym oczekiwaniem organizm. Czas mijał powoli i Marysia traciła już nadzieję na rozwój akcji. Robiło się coraz zimniej, wilgoć przeniknęła swetry. Pomyślała o ciepłym łóżku, dobrym jedzeniu ciotki Stefy i ulubionym pluszaku-kangurku, o którym wiedziała tylko mama. Kangur, nieco już wypłowiały i sprany, był jej maskotką na szczęście. Dostała go od rodziców, gdy miała trzy lata i od razu pokochała. Od tamtej pory zabierała go wszędzie ze sobą, w góry, nad morze, nawet pod namiot. Z biegiem lat trochę się zaczęła wstydzić tej swojej słabości do maskotki, toteż zaczęła ukrywać obecność kangura. Tylko mama nie dała się nigdy nabrać i doskonale wiedziała, kto śpi pod poduszką jej córki. Kostek cicho chrząknął. Dziewczyny automatycznie obudziły się z letargu i ostrożnie wyjrzały. Drogą jechała znajoma nysa i tak samo, jak wcześniej radiowóz policyjny, cicho, bez świateł zmierzała w kierunku wysypiska. Nieletni detektywi z zapartym tchem czekali na rozwój wypadków. Nysa podjechała na skraj wysypiska i stanęła. Bardzo długo nikt z niej nie wychodził, wreszcie otworzyły się drzwi, z dwu stron naraz, i ze stopni zeskoczyły znajome postaci. Od razu przystąpili do rzeczy, podnieśli plandekę i zaczęli wyrzucać jakieś wory i blachy. Pracowali szybko, od czasu do czasu przystając dla odpoczynku.

– Policja chyba zasnęła – szepnął do dziewczyn Kostek.

I właśnie po tych słowach ogromny reflektor oświetlił polankę.

– Stać! Nie ruszać się, policja! – przez megafon usłyszeli potężny i stanowczy głos inspektora Kotka.

„Śmieciarze” zamarli. Rudy stanął na baczność, rozglądając się wokół i mrugając powiekami. Kapiszon błyskawicznie skoczył w bok, przeturlał się parę metrów w ciemność i rzucił do ucieczki. Policjanci

wyskoczyli z krzaków. Dwóch zajęło się skuwaniem Rudego, aspirant Koźlak i inspektor Kluska rzucili się w pogoń za uciekinierem.

– Stać policja! Stać! – po całym lesie słychać było ich nawoływania.

– Zwiął im – zdążył jeszcze szepnąć Kostek, gdy jakiś wielki ciężar spadł prosto do ich kryjówek.

– Aaaaaaaa!!! – zawołały przerażone dziewczyny, zanim dotarło do nich, że to Kapiszon wleciał im prosto pod nogi.

Kostek chwycił latarkę i zaświecił na wijące się i klnące ciało. Snop światła skierował prosto w oczy „śmieciarza”.

– Nie ruszaj się! Mamy cię! – ryknął na cały głos, przypominając sobie zachowanie komisarza Zawady, ulubionego bohatera filmów sensacyjnych.

Marysia z Kasią wyskoczyły z dziury i zaczęły wrzeszczeć jak opętane:

– Jest! Mamy go! Jeeest!!! – podrygiwały śmiesznie, zupełnie nie panując nad swoim ciałem i głosem. Wyglądały jak dwie kukiełki poruszane przez amatora.

Snop światła przesunął się, pokazując rozgorączkowane dziewczyny. W dole Kostek siedział okrakiem na mężczyźnie i świecił mu latarką prosto w oczy, sycząc, jak na gangsterskich filmach:

– Nie ruszszszaaaj się!... bo zaboli...!

Kapiszon usiłował zrzucić z siebie chłopca, jedną ręką chwycił go za ramię i natychmiast tego pożałował. Kostek z całej siły ugryzł go w palec.

–Ałaaaaa!!! – zawył zbir, opadając na ziemię.

Policjanci, aspirant Koźlak, inspektor Kotek, Ada i Jasiu – wszyscy ruszyli biegiem do miejsca, gdzie dzielny Kostek znęcał się nad „śmieciarzem”.

– No ładnie!! – wysapał inspektor, dobiegłszy wreszcie do dziury. – Skuć go! – rozkazał. – Co wy tutaj robicie?! Przecież mówiłem, prosiłem! Zabawy wam się zachciało, szlag by to trafił! Przecież mogło coś wam się stać! Nieodpowiedzialne dzieciaki!!!

„Dzieciaki” stały cicho, ze spuszczonymi głowami. Kostek wygrzebał się z kryjówki i stanął obok Marysi. On jedyny był bardzo zadowolony.

– Przecież bez nas byście go nie złapali! Liczyłem na podziękowanie
– powiedział spokojnie, otrzepując spodnie z gliny, świerkowego igliwia i spanikowanych mrówek.
– Cicho! – wysapał wściekły Koźlak i zmierzył wzrokiem chłopca. Policjanci pakowali podejrzanych do wozu.
– Szefie, to co, jedziemy? – krzyknął kierowca.
– Zaraz, już lecę – Kotek obrócił się do nieletnich detektywów. – Stójcie tu, nie wolno wam się ruszać na krok. Zrozumiano?! Zaraz wracam – rzucił na odchodnym.
– No nieźle, chyba będzie z tego jakaś grubsza sprawa – Jasiu patrzył ponuro za odchodzącym inspektorem.
– E tam, pogrozą i tyle, co nam niby mogą zrobić? – Ada była pod wrażeniem wyczynu Kostka. Nie spodziewała się po nim takiej determinacji.
– Dobrze się spisałeś, masz nerwy ze stali. Ja bym chyba spanikował i uciekł z krzykiem, jakby mi taki obwieś spadł na głowę – Jasiu podziwiał kolegę.
Marysia, Ada i Kika stały, trzymając się za ręce, były jeszcze blade ze strachu.
– A rodzice? – wyszeptała Ada – Teraz wszystko się wyda, oj będą kłopoty...
Nikt nie zaprzeczył. Lista grzechów była długa – samowolne wychodzenie z domu, spędzenie nocy na leśnym wysypisku, narażanie życia i zdrowia, małe kłamstewka i mieszanie się w sprawy policji. Za to może być szlaban do końca wakacji. Rodzice też pewnie będą wzywani na posterunek, będą musieli się tłumaczyć z postępów dzieci.
Aspirant Koźlak przedarł się przez krzaki.
– Idziemy. Odwiozę was do domów. Resztę załatwimy jutro – powiedział już całkiem spokojnie i wyjął kaszanke.

Rozdział 33

Burza była silna, acz krótkotrwała. Przez pierwszy dzień rodzice i opiekunowie (ciotka Stefa) dochodzili do siebie i trawili wiadomości usłyszane od inspektora Koźlaka. Drugiego dnia były poważne rozmowy, rekonstrukcja zdarzeń i rodzicielskie kary... Trzeciego dnia u każdego z winowajców pojawili się przedstawiciele władzy, w osobie policjantów Kotka i Koźlaka, dziękując oficjalnie za pomoc w ujęciu groźnych przestępców.

Okazało się bowiem, że Rudy i Kapiszon zajmowali się kradzieżą aut na zamówienie, niektóre rozbierali na części, a reszta aut szła za wschodnią granicę. Dla niepoznaki oficjalnie pracowali w firmie remontowej, która zlecała im wywóz różnych gratów i śmieci z odnawianych lokali. Jednym z remontowanych miejsc była pracownia krawiecka, i to właśnie z niej wywieźli nogę manekina, która aspiranta Koźlanka omal nie wpędziła do grobu. Kapiszon i jego kumpel oczywiście nie marnowali pieniędzy na legalne wysypiska, śmieci upychali do lasu, a zaoszczędzoną kasę dzielili sprawiedliwie na pół. Przy okazji wywalali też niepotrzebne lub zbyt charakterystyczne części samochodów, które kradli. Proceder trwał już blisko rok, a „zakochana polanka” była trzecim z kolei nielegalnym wysypiskiem, które udało im się stworzyć. Policjanci podkreślili, że spontaniczna i samorzutna akcja dzieci pomogła w odnalezieniu, zidentyfikowaniu i złapaniu złodziei. Była to oczywiście akcja niebezpieczna i całkowicie nieodpowiedzialna, ale wszystko skończyło się dobrze i są w gruncie rzeczy wdzięczni za pomoc, która przyczyniła się do zwiększenia wykrywalności przestępstw w gminie i pozwoliła zabłysnąć miejscowemu komisariatowi.

Po takim postawieniu sprawy dumni rodzice odwołali kary, ograniczając się tylko do słownej reprimendy i ustnych obietnic dziatwy, że już n i g d y nie wpłaczą się w podobną aferę i z a w s z e będą informować rodziców o swoich zamiarach.

Ciotka Stefa, która przez wypadki ostatnich dni poczuła nagle jak wielki jest ciężar odpowiedzialności, postanowiła niezwłocznie skontaktować się z rodzicami Marysi. Uświadomiła sobie dotkliwie, że zaślepiona własnym szczęściem karygodnie zaniedbała siostrzenicę i w ogóle się nie interesowała tym, co mała całymi dniami porabia. Wyrzuty sumienia gnębiły ją już drugą z kolei noc, wierciła się w łóżku, wstawała, kładła, znowu wstawała, brała tabletkę nasenną, kładła i wstawała. Nie wiedziała jak rozpocząć rozmowę, Marysia oczywiście postąpiła lekkomyślnie i głupio, ale winę ponosi przecież ona, jej ciotka. Stefa sapnęła i usiadła na fotelu. Sprężyny cicho jęknęły. Jak wytłumaczyć rodzicom nocne eskapady, z drugiej strony nie może całymi nocami czuwać i nadśluchiwać, czy mała się gdzieś nie urywa. Owinęła się szczelnie pledem.

– Głupia!– powiedziała półgłosem do siebie. Powinna wiedzieć, że dziewczynka wchodzi w wiek buntu i różne, szalone pomysły rodzą się w jej głowie. Wstała; dochodziła czwarta – „dobry czas na kawę i tak już nie zasnę, przereklamowane te tabletki” pomyślała, schodząc do kuchni. „Jutro zadzwonię do Kanady, będzie, co ma być”.

Rozdział 34

Dokładnie o 6.24 pan Michał zszedł do kuchni. Był już w dresie, ćwierkający i gotowy do codziennego joggingu. Jeszcze tylko poranna kawka i pobiegnie swoje siedem kilometrów, będzie wdychał zapach brzoźowego lasu i porannych mgieł. Od tygodnia na przebieżkę namawiał Tomka, bezskutecznie. Artysta miał zdecydowanie odmienny tryb życia, dzień zaczynał o dziesiątej, więc szósta rano to dla niego środek nocy. Nadstawił ucho, z kuchni dobiegało jakieś sapanie. Powoli otworzył drzwi i wszedł do środka. Na stołeczku z głową opartą o blat kuchenny spała jego ukochana. Wyglądała prześlicznie – dojrzała, apetyczna kobieta – pan Michał czule pogłodził ją po głowie – jego oblubienica była przeciwieństwem kościstych, bladych wieszaków z wybiegów.

– Chrrrr – pod wpływem elektryzującego dotyku ciotce Stefie chrapnęło się z wdziękiem.

„Dla takich chwil warto było wracać z tej zimnej Skandynawii” pomyślał narzeczony i wziął się za przygotowywanie kawy.

– Majysia!!! Majysia – dziecięcy głosik plus kopanie w drzwi dobiegło do pokoju dziewczynki. Zaspana Marysia po omacku zeszła na dół i wpuściła Kubusia. „Nikogo nie ma?” zdziwiła się.

– Tomek śpi – stwierdził maluch – mam to oo – pokazał zwinięty pod pachą rulon i bezceremonialnie wdarł się do środka. Za małym do domu wskoczył przyczajony na werandzie Gruby Ziutek.

– Kostek Kubusia do pjacy postawił, bjał będzie potem – dopowiedział mały.

– Aha, dobranoc – skwitowała, nic nie rozumiejąc, chciała jak najszybciej wrócić do wygodnego łóżka i pośnić jeszcze trochę. – Obudź Tomka. Tylko skutecznie! – rzuciła przed wejściem do swojego pokoju.

Owinęła się po szyję kołdrą, zamierzała spać bez opamiętania. W końcu to schyłek wakacji, już niedługo skończą się błogie, letnie dni.

Brrr, wzdrygnęła się na samo przypomnienie szkoły i przyklepawszy jeszcze raz pościel, odpłynęła do krainy elfów.

– Aaaaaaaa!!! – przeraźliwy krzyk przeszył marysiny sen, zaplątana w kołdrę gruchnęła o ziemię.

– Woda! Woda!! Mnie!! – wydierał się z góry artysta-plastyk.

Marysia szybko wyplątała się z pościeli i pobiegła na stryszek. Pan Tomek, z moką głową, stał na środku pokoju w dramatycznej pozie. Z włosów ściekała mu woda, z oczu leciały pioruny. Niewzruszony Kubuś, z czajnikiem w ręce, czekał aż jego pracodawca i przyjaciel w jednej osobie, ochłonie.

– Majysia kazała – wyjaśnił, wskazując winowajczynię.

– Skąd?! Nic nie mówiłam, żebyś kogokolwiek polewał! – oburzyła się święcie. – Miałeś tylko obudzić pana Tomka.

– No – zgodził się mały – skutecznie – dodał przyglądając się czajnikowi.

– Uch... – Marysia zgrzytnęła zębami – w tym domu nie można się spokojnie wyspać. – Radźcie sobie sami – powiedziała lekko obrażona i powędrowała do łazienki. Znad umywalki usłyszała jeszcze jęk zachwyty wydany przez pana Tomka, pewnie Kubuś znowu rozwinął się twórczo i swoim pomysłem powalił na kolana artystę. „Ten mały ma przed sobą świetlaną przyszłość, trzeba by zachować te jego bohomazy, za kilkanaście lat mogą mieć dużą wartość” pomyślała perspektywicznie, nakładając na szczoteczkę do zębów krem do golenia.

W południe przyjaciele zebrali się na plaży. Po raz pierwszy od dłuższego czasu kąpali się, wygłupiali i opalali jak gdyby nigdy nic. Kostek adorował Marysię, Jasiu asystował Adzie i Kice.

– Jak dobrze, że to wszystko tak się skończyło – Ada przekręciła się na plecy. – Przez cały czas miałam ogromne poczucie winy.

– Ja też – wyznała Marysia – czułam się, jakbym prowadziła podwójne życie. Ciotka Stefa przypłaciła te rewelacje dwudniową migreną, najgorsze jednak jest to, że rodzice jeszcze o niczym nie wiedzą. Obawiam się, że jak się dowiedzą, to nigdzie mnie na krok samej nie puszczą. Ciotka ma z nimi dzisiaj rozmawiać, ale też się chyba boi, w końcu byłam pod jej opieką.

- Będzie dobrze – Kostek odegnał natrętną muchę – najgorsze, że wakacje się kończą. W szkole na pewno dostanę małego rozumu, znowu trzeba będzie zakuwać. Was też tak rodzice cisną?
- Spojrzeni na niego pobłażliwie.
- Kostusiu kochany, a gdzie nie cisną, takie czasy... wyścig szczurów
- Kika założyła wielkie, przeciwsłoneczne okulary.
- Angielski, niemiecki, francuski, kółko historyczne i astronomiczne – wyliczał Jasiu. – Ten świat zwariował, umrzemy z przemęczenia – ziewnął głośno.
- Może by jakiś opór stawić – podzuciła Ada – no, nie musimy dać się tak zarzynać.
- Proszę bardzo, idź i zaproponuj to moim rodzicom – uśmiechnął się Jasiu – powiedzą ci, że wszystko dla twojego dobra, dla twojej przyszłości. Nie ma z nimi gadki.
- Nauka nauką, ale w czasie roku szkolnego trzymamy się razem, OK.? – szukał potwierdzenia Kostek.
- Pewnie, możemy razem powtarzać matkę, super zajęcie na weekendy – zachichotała Kika i poklepała przyjaciela po plecach.

Rozdział 35

Wakacje się kończyły. Wskazywały na to coraz chłodniejsze wieczory, zimniejsza woda w jeziorze i niepokój czający się gdzieś w okolicy serca. Ciotka Stefa jakby trochę przygasła; wiedziała, że czekają ją wielkie zmiany, których oczywiście bardzo pragnęła, ale trochę się też obawiała. Nic nie będzie już takie jak dawniej, rozmyślała nad garnkiem z makaronem. Za tydzień wracają rodzice Marysi, a ona ma przeprowadzić się do Misiaczka. Jak to będzie? Po pięćdziesięciu dwóch latach samotności? To już nie będą wakacje, ale codzienne obowiązki, przyzwyczajenia, czasami pewnie kłótnie... Nie, przecież się kochają, to jest najważniejsze. Zajrzała do garnka, makaron zaczął się niebezpiecznie sklejać. Dolała oliwy. Dobrze, że chociaż siostra nie miała do niej pretensji. Wczorajsza rozmowa uspokoiła ją. Agnieszka jakoś złagodniała, owszem dopytywała o szczegóły policyjno-samochodowej afery, ale za bardzo się nie przejęła. Pewnie na obczyźnie wszystko przyjmuje z dystansem, no, ale do czego to podobne, żeby bizony były ważniejsze od własnego dziecka? Dobrze, że już wracają. Stęskniła się za nimi, nawet za szwagrem. Makaron był gotowy. Zalała muszle zimną wodą. Teraz trzeba jeszcze ponadziewać je farszem rybnym, polać sosem czosnkowym i danie gotowe. Chyba wystarczy? – przyjrzała się uważnie misce – tylu gości! – rodzina Mizgalskich w komplecie, przyjaciele Marysi, może wpadnie pan Jerzy-stomatolog. To ostatni dzień z Tomkiem pod jednym dachem – skończył swój projekt i wraca na łono rodziny. Kubuś będzie niepokieszony. Ciotka Stefa fachowo nakładała farsz do muszelek i układała na żaroodpornym półmisku. Do kuchni zajrzała Marysia z Kostkiem.

– Może coś pomóc? – dziewczynka wyglądała dziś prześlicznie. Ciotka rzadko widywała ją w sukienkach, a przecież dodawały jej tyle romantyzmu. Teraz też, delikatny szarobłękitny deseń podkreślał opaleniznę i urodę. Chyba nawet przyciemniła rzęsy. No, no szykują

się duże zmiany, pomyślała zerkając na wpatrzonego w siostrzenicę Kostka.

– Halo, tu ziemia do kosmosu! Pomóc?! – powtórzyła pytanie Marysia.

– A wiesz co? – ocknęła się ciotka – to nawet dobry pomysł, tylko przewiąż się czymś, bo sobie sukienkę pobrudzisz. Pokrój warzywa na sałatkę i to dużo, bo apetytu nikomu nie brakuje.

– A kto będzie? – zapytał Kostek podjadając pomidorka.

– Ty lepiej zapytaj, kogo nie będzie. Zresztą małe Mizgalskie z chomikiem już wystarczą za cały pułk wojska. Mam nadzieję, że nie wpadną na żaden dziki pomysł i tym razem będą się zachowywały przyzwoicie.

– Żadne dziecko nie zachowuje się przyzwoicie, wiem coś o tym, obcuje na co dzień z jednym egzemplarzem – Kostek sięgał właśnie po drugi kawałek pomidorka, gdy dopadła go ścierka ciotki.

– Ty złego słowa nie mów na Kubusia, to kochane, inteligentne i niezwykle uzdolnione dziecko. Zobaczysz, on jeszcze karierę zrobi taką, że ho ho...

– No, w to nie wątpię – Kostek masował sobie dłoń – talent to on ma.

O szesnastej, z wielkim hukiem, zajechała rodzina Mizgalskich. W samochodzie poszła rura wydechowa, ale pani Ania zbytnio się tym nie przejęła, zatkawszy sobie i dzieciom uszy przejechała pięćdziesiąt kilometrów, budząc postrach wśród normalnych kierowców. Na pytanie ścigającego ją z kogutem na dachu patrolu policyjnego, dlaczego się nie zatrzymała, z rozbijającą szczerością wyznała, że... nie słyszała. Przed mandatem ustrzegły ją dzieci, tknięte instynktem samozachowawczym zaczęły eskalować żądania dotyczące jedzenia, picia, siusiu, odpoczynku i zwiedzenia samochodu drogówki. Policjanci poprzestali więc na rutynowym upomnieniu i w popłochu oddalili się do swojej warowni.

Chwilę potem razem z Adą, Kiką i Jasiem przyszedł Kubuś. Był wyjątkowo smutny i małomówny, dla każdego miał niespodziankę – laurkę z motywem bożonarodzeniowym, bo przecież Gwiazdka już za pasem. Swojemu mistrzowi, Tomkowi, dał kartkę największą, obsypaną obficie posypką czekoladową. Po tej demonstracji czułości

i przywiązania, bez słowa, skierował się prosto do małych Mizgalskich. Wszyscy byli zrelaksowani i zadowoleni. Nawet zwierzęta po chwili konsternacji na widok Jonasza, Marty i Zośki wróciły do równowagi i zbiorowo żebrały, prosząc o kawałki smakowitości, które drażniły im nosy. Najbardziej uległy był pan Jerzy – stomatolog sadysta, jak go w duchu nazywał Kostek – w rzeczywistości miał czułe serce i co rusz częstował psy i koty kawałkami placka albo makaronu. Kostek wolał trzymać się od niego z daleka, wbrew sugestiom do dzisiaj nie odwiedził gabinetu stomatologicznego, a świadomość, że jest to nieuniknione spędzała mu sen z powiek. W tajemnicy przed wszystkimi pił napary z ziółek polecanych mu przez szamankę Krapkową. Generalnie herbatki sprawdzały się, jedynym ich skutkiem ubocznym było widoczne zażółcenie zębów, a wybielające pasty działały tylko do następnej filiżanki naparu.

– Ekhmm, ekhmm, chciałbym wydać oświadczenie – zaczerwienił się pan Michał i chwycił kurczowo za rękę Stefę. Ciotka dla odmiany pobladła. – Wiadomo wam, że pałamy do siebie uczuciem, więc postanowiliśmy, jakby to ująć... sfinalizować ten związek i w październiku, ekmm... bierzemy ślub – Misiaczek odetchnął z ulgą.

– Tak, tak – potwierdziła szybko ciotka i pokazała zaręczynowy pierścionelek; pierwszy raz w życiu odjęło jej mowę.

Rozdział 36

Kochani rodzice,

Wiadomość roku!! – ciotka Stefa wychodzi w październiku za swojego Misiaczka. Ogłosili to publicznie, więc nie mogą się już wycofać (osobiście jednak uważam, że ciotka ze strachu może jeszcze wywinąć nie jeden numer). Z tej okazji polał się szampan, a Gruby Ziutek do dzisiaj ma kaca (dlaczego koty muszą być tak łakome?). Dzięki, że jesteście tak wyrozumiali i nie suszycie mi głowy o tę śmietnikową aferę! Ale naprawdę, gdybyście zobaczyli aspiranta Koźlaka, to też nie wierzylibyście w skuteczność policji J Za trzy dni wracamy do domu! Ziutek rozpacza, bo musi rozstać się z Melą. Udało mi się wydać szczeniaki, wszystkie! No prawie wszystkie, został Pasztet i oczywiście Franczeska. Ale co ja na to mogę poradzić, że psa nikt nie chce? Suczki i owszem, ale psa, nie. Wracam więc do domu z trzema zwierzakami, może jak wy przyjedziecie to coś zaradzicie]. Wierzę, że jak zobaczycie Paszteta, to od razu się w nim zakochacie (Gruby Ziutek nic przeciwko kolejnemu facetowi w domu nie ma). U nas zaczyna się już piękna, złota jesień – rankiem zimno jak diabli i od dwóch dni leje. Jak wrócimy do miasta, to ciotka chce zorganizować wieczorek panieński. Czy w jej wieku to jeszcze wypada? Misiaczek nic o kawalerskim nie wspomina. Jestem przeszczęśliwa, że już za tydzień wracacie!!!! Dobrze, że leje, bo usycham z tęsknoty!

Papaski

Marysia

P.S. Pozdrowienia od Franczeski, Ziutka i Paszteta.

Kochana Marysieńko,

Ziutek może i nie ma nic przeciwko Pasztetowi, ale obawiam się, że tata ma. Chciałby pozostać samcem Alfa w naszym stadzie, a w obecności rozwojowego szczeniaka może być to trudne. Jeżeli nie

oddasz go przed naszym przyjazdem, to my będziemy musieli jakoś tę sprawę (ale nie psa J załatwić).

Stefa, nie bacząc na wysokość rachunku telefonicznego, poczuwała się do zdania nam szczegółowej relacji z nocnych ekscesów.

Zdążyliśmy się więc już oswoić i czekaliśmy tylko na Twoje wyjaśnienia. Szkoda, że to Ty nam wszystkiego nie opisałaś...

Dyskutowaliśmy o całej tej sprawie pół nocy i stwierdziliśmy, że:

A – działałaś w słusznej sprawie,

B – dobrze się do tego przygotowałaś,

C – jesteś jeszcze dzieckiem,

D – jesteś już prawie dorosła,

E – to wszystko nasza wina.

Sama, więc widzisz, że o jakiegokolwiek karze czy wymówkach mowy być nie może. My też nie możemy się doczekać spotkania z Tobą!

Zachowujemy się jak dwa stare grzyby – wspominamy, jak to było w Polsce, patrzymy na Twoje zdjęcie i ronimy wielkie łzy.

Co do Stefy, to jestem pewna, że po pierwszym szoku, szybko dojdzie do siebie (znam ją przecież nie od dziś) i nawet gdyby się Misiaczek odmyślił i poleciał na Księżyc, to i tak go dopadnie.

Co do drogiej pani prof. Sary Smith vel Wydziobak, już postanowione. Przyjeżdża pod koniec października. Poznasz ją wtedy, jest trochę... niekonwencjonalna, ale sympatyczna.

Mamy dla Ciebie niespodziankę! Na pewno się zdziwisz, ale i ucieszysz. Nie tylko Stefie życie się zmieni, nam też... i to bardzo... bardzo...

Kochamy Cię, wracamy !!!

Pa, Pa!!!

Mama

P.S. Wszystko, co napisała mama, to święta prawda.

Pa, pa

Tata

Marysia skończyła czytać maila i chwyciła się za głowę. Jakieś nieokreślone przeczucie podpowiadało jej, że kłopoty to się dopiero zaczną...